

ROK XXIX / Nr 1(104) 2022

CZASOPISMO



Federacji
Organizacji Polskich
na Ukrainie

NASZE DROGI



Inwazja Rosji
na Ukrainę

Z życia organizacji
członkowskich FOPnU

A stylized graphic of the Polish flag, consisting of a white top half and a red bottom half, positioned above the word 'Solidarni'.

SolidARNi

Z UKRAINĄ

NASZE DROGI

Czasopismo Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie

ROK XXIX

Styczeń–Marzec 2022



**Projekt wspierany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów
w ramach konkursu Polonia i Polacy za Granicą 2021**



**Projekt „Polskie media na Ukrainie 2021-2022” realizowany
przez Fundację Wolność i Demokracja**

Publikacja wyraża jedynie poglądy autora/ów i nie może być utożsamiana
z oficjalnym stanowiskiem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.

Redaktor naczelny *Teresa Dutkiewicz*

Redaktor techniczny *Igor Staruńko*

Korekta *Maria Iwanowa*

Współpraca: *Elżbieta Korowiecka, Oskar Stanisław Czarnik, Nadzieja Susznicka,
Małgorzata Miedwiediewa, Ludmiła Gandz, Olga Dorina, Anatol Herka, Helena Nowak,
Władysław Strutyński, Sonia Pajgert*

Zdjęcia: archiwalne, *Teresa Dutkiewicz, Sergiusz Dorin, Helena Nowak, Ludmiła Gandz*

Adres redakcji: 79000 Lwów, a/c 51
e-mail: czasopismo.nd@gmail.com
www.naszedrogi.com.ua

Do użytku wewnętrznego na prawach rękopisu

Drodzy Czytelnicy!

Zachęcamy do nadsyłania korespondencji z życia Waszego środowiska oraz materiałów o tematyce dotyczącej historii Waszego regionu. Treść materiałów drukowanych w Czasopiśmie nie zawsze odpowiada poglądom redakcji. Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów oraz zmiany tytułów otrzymywanych tekstów, zachowując styl wypowiedzi autorów.

SPIS TREŚCI

Papieska modlitwa za Ukrainę.....	3
Apel katolickich biskupów Polski i Ukrainy	3
Straszna Rzeczywistość	6
Polacy są niesamowici	8
Wojna na Ukrainie	11
Od serca do serca	12
Z życia organizacji członkowskich FOPnU.....	14
20 lat minęło jak jeden dzień.....	17
120 lat Domu Polskiemu w Czerniowcach.....	18
Andżelika Borys w areszcie domowym.....	20
Narodowo-Kulturalne Stowarzyszenie Polaków „Polska Nuta”	21
Noblista z Nowolipek	24
<i>Oskar Stanisław Czarnik</i>	
Czas trudnej próby. Wspomnienia z lat 1980–1989	28

Okladka 1 str. – Inwazja Rosji na Ukrainę. **2 str.** – Solidarni z Ukrainą. **3 str.** – Międzynarodowy konkurs „Być Polakiem”. **4 str.** – Ratowanie unikalnych zabytków Lwowa w czasie wojny.

Papieska modlitwa za Ukrainę

2 marca jest dniem modlitwy o pokój na Ukrainie, który Ojciec Święty ogłosił w związku z eskalacją napięcia wokół tego kraju i groźbą rosyjskiej agresji. Na apel Papieża odpowiedziały wspólnoty kościelne i episkopaty na całym świecie, także w Polsce. O rozkwit braterstwa oraz uleczenie ran, obaw i podziałów Franciszek modlił się wspólnie z pielgrzymami przybyłymi do Watykanu na audiencję środową. W intencji pokoju na Ukrainie



odmówił z nimi modlitwę „*Ojcze nasz*”. Papież zauważył, że w ciągu swej historii Ukraina wiele już wycierpiała. Przypomnił o ofiarach, które pociągnęła tam za sobą II wojna światowa, o wielkim głodzie i wielu innych cierpieniach. Franciszek podkreślił, że kraj ten zasługuje na pokój. *„Zapraszam was abyśmy pomodlili się o pokój na Ukrainie. Powtarzamy tę modlitwę wielokrotnie w ciągu tego dnia: prośmy Boga usilnie, aby ta ziemia mogła zobaczyć rozkwit braterstwa i uleczyć rany, obawy i podziały – zachęcał Ojciec Święty. – Modlitwy i błagania, które dzisiaj wznoszą się aż do nieba niech dotkną umysłów i serc odpowiedzialnych w świecie, ażeby przedłożyli dialog i dobro wszystkich ponad prywatne interesy. Proszę, nigdy więcej wojny! Módlmy się o pokój modlitwą „Ojcze Nasz”: jest to modlitwa dzieci, które zwracają się do tego samego Ojca, jest to modlitwa Ojca, który czyni nas braćmi, jest to modlitwa braci, którzy błagają o pojednanie i zgodę“.*

Vatican news

Apel katolickich biskupów Polski i Ukrainy O POSZUKIWANIE DIALOGU I POROZUMIENIA W CELU ZAŻEGNANIA NIEBEZPIECZEŃSTWA DZIAŁAŃ WOJENNYCH

Z niepokojem przyjmujemy informacje o tym, iż ostatnie serie rozmów między Rosją a Zachodem nie doprowadziły do porozumienia. W swoich wystąpieniach przywódcy wielu państw wskazują na zwiększanie presji ze strony rosyjskiej wobec Ukrainy, u której granic masowo gromadzone jest uzbrojenie i wojsko. Okupacja Donbasu i Krymu dowiodły, iż Federacja Rosyjska – naruszając suwerenność państwową i integralność terytorialną Ukrainy – odnosi się w sposób lekceważący do obowiązujących zasad prawa międzynarodowego. Zaistniała zaś sytuacja jest dla krajów Europy środkowo-wschodniej oraz całego kontynentu europejskiego wielkim zagrożeniem, które może zniszczyć dotychczasowy dorobek wielu pokoleń budujących pokojowy ład i jedność Europy.



Arcybiskupi Świątosław Szewczuk i Stanisław Gądecki

1. Reżimy totalitarne XX wieku przyniosły światu tragiczne doświadczenia wojen oraz terroru politycznego, lekceważąc autorytet Boga. W imię fałszywych ideologii skazywano na zagładę całe narody, niszczonego poszanowanie godności osoby ludzkiej, a istotę sprawowania władzy politycznej sprowadzano wyłącznie do przemocy. Także i dzisiaj chcemy wyraźnie podkreślić, iż każda wojna jest nieszczęściem i nie może być nigdy odpowiednim sposobem rozwiązywania problemów międzynarodowych. Nigdy nim nie była i nigdy nie będzie, ponieważ rodzi ona nowe, poważniejsze konflikty. Gdy wybucha wojna, staje się „bezsensowną rzezią”, „ryzykiem, od którego nie ma odwrotu”, która niszczy teraźniejszość i zagraża przyszłości ludzi: „Przez pokój nic nie ginie, przez wojnę można utracić wszystko”. W ostatecznym rozrachunku wojna jest zawsze porażką ludzkości. Jest wyrazem barbarzyństwa i całkiem nieskutecznym narzędziem rozwiązywania nieporozumień. Papież Paweł VI podczas swojego wystąpienia na Sesji Konferencji Rozbrojeniowej ONZ w 1978 r. nazwał wojnę „irracjonalnym i niemożliwym do zaakceptowania środkiem regulowania sporów między państwami”. „Wszelkie działania wojenne, zmierzające bez żadnej różnicy do zniszczenia całych miast lub też większych połaci kraju z ich mieszkańcami, są zbrodnią przeciw Bogu i samemu człowiekowi, zasługującą na stanowcze i natychmiastowe potępienie” (Gaudium et spes, 80). „Działania w sposób zamierzony sprzeczne z prawem narodów i jego powszechnymi zasadami, podobnie jak nakazujące je zarządzenia, są zbrodniami. Nie wystarczy ślepe posłuszeństwo, by usprawiedliwić tych, którzy się im podporządkowują. Zagłada ludu, narodu czy mniejszości etnicznej powinna być potępiona jako grzech śmiertelny. Istnieje moralny obowiązek stawiania oporu rozkazom, które nakazują ludobójstwo (KKK 2313).

2. Poszukiwanie alternatywnych wobec wojny sposobów rozwiązywania międzynarodowych konfliktów stało się dzisiaj niezwłoczną potrzebą, gdyż przerażająca siła narzędzi zniszczenia dostępnych nawet średnim i małym mocarstwom, oraz coraz silniejsze powiązania istniejące między narodami całej ziemi utrudniają dziś, czy wręcz praktycznie uniemożliwiają ograniczenie skutków konfliktu. Nauczeni doświadczeniem poprzednich pokoleń zwracamy się więc z apelem do rządzących o powstrzymanie się od działań wojennych.

Zachęcamy przywódców do niezwłocznego wycofania się z drogi stawiania ultimatum i wykorzystywania innego państwa, jako karty przetargowej. Wszelkie rozbieżności interesów winny być rozwiązywane nie przy użyciu broni, ale na drodze porozumień. Wspólnota międzynarodowa winna solidarnie połączyć swoje wysiłki i aktywnie wesprzeć wszystkimi możliwymi sposobami będące w zagrożeniu społeczeństwo.

3. W imieniu własnym i naszych wspólnot przypominamy, iż „popieranie pokoju w świecie jest nieodłącznym elementem posłannictwa, przez które Kościół kontynuuje zbawcze dzieło Chrystusa na ziemi. Kościół jest bowiem w Chrystusie sakramentem”, czyli znakiem i narzędziem pokoju w świecie i dla świata. Budowanie prawdziwego pokoju jest wyrazem chrześcijańskiej wiary w miłość Boga do każdego człowieka. Z wyzwalającej wiary w miłość Boga pochodzi nowa wizja świata i nowy sposób podejścia do bliźniego, niezależnie od tego, czy jest on pojedynczą osobą, czy całym narodem: to wiara natchniona przez pokój, który Chrystus pozostawił swoim uczniom (J 14,27), przemienia i odnawia życie (KNSK, 516). Fundamentem relacji międzyludzkich kultury judeochrześcijańskiej są wartości: wiary, nadziei i miłości a także prawdy, piękna i dobra, bez których nie ma i nie będzie trwałej pokojowej przyszłości. Obecna sytuacja, domaga się od chrześcijan tradycji wschodniej i zachodniej pełnej odpowiedzialności za teraźniejszość i przyszłość naszego kontynentu oraz gotowości ponoszenia ofiar w obronie wspólnoty rodzinnej, narodowej i państwowej.

4. W związku z tym zapraszamy wszystkich do połączenia się we wspólnej modlitwie: „Boże ojców naszych, wielki i miłosierny! Panie życia i pokoju, Ojciec wszystkich ludzi. Twoją wolą jest pokój, a nie udręczenie. Potęp wojny i obal pychę gwałtowników. Wysłałeś Syna swego Jezusa Chrystusa, aby głosił pokój bliskim i dalekim i zjednoczył w jedną rodzinę ludzi wszystkich ras i pokoleń. Usłysz krzyk wszystkich Twoich dzieci, udręczone błaganie całej ludzkości. Niech już nie będzie więcej wojny – złej przygody, z której nie ma odwrotu, niech już nie będzie więcej wojny – kłębowa walki i przemocy. Spraw, niech ustanie wojna [...], która zagraża Twoim stworzeniom na niebie, na ziemi i w morzu. Z Maryją, Matką Jezusa i naszą, błagamy Cię, przemów do serc ludzi odpowiedzialnych za losy narodów. Zniszcz logikę odwetów i zemsty, a poddaj przez Ducha Świętego nowe rozwiązania wielkoduszne i szlachetne, w dialogu i cierpliwym wyczekiwaniu – bardziej owocne niż gwałtowne działania wojenne. Ojciec, obdarz nasze czasy dniami pokoju. Niech już nie będzie więcej wojny. Amen. (św. Jan Paweł II).

Arcybiskup Większy Światosław Szewczuk

Zwierzchnik Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego

Arcybiskup Stanisław Gądecki

Przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski

Arcybiskup Mieczysław Mokrzycki

p.o. Przewodniczącego Konferencji Episkopatu Ukrainy

Arcybiskup Eugeniusz Popowicz

Metropolita Przemysko-Warszawski Kościoła Greckokatolickiego w Polsce

Biskup Nil Łuszczak

Administrator Apostolski sede vacante Greckokatolickiej Eparchii Mukaczewskiej sui iuris

Straszna Rzeczywistość

Nad ranem w Kijowie było słychać kolejne wybuchy. Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zelenski podpisał dekret o powszechnej mobilizacji. W Kijowie i innych ukraińskich miastach wprowadzono godzinę policyjną. Ukraina zerwała stosunki dyplomatyczne z Rosją. 24 lutego Władimir Putin wydał rozkaz przeprowadzenia specjalnej operacji wojskowej na terenie Ukrainy. Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zelenski ogłosił stan wojenny.

Wybuchy pocisków, pożary. Sznury samochodów pełnych ludzi, chcących uciec z Kijowa na zachód. Kolejki po jedzenie, do bankomatów i aptek. Wspólne modlitwy.



Informacje ukraińskiego dowództwa o walkach z armią rosyjską. Żołnierze Putina wchodzą na Ukrainę z kilku stron. Od wschodu, z Krymu i z Białorusi.

W takiej rzeczywistości obudzili się dziś Ukraińcy i cały świat. Putin nie przestraszył się pierwszej transzy sankcji. Polska poleciła swojemu przedstawicielowi przy NATO złożenie wniosku o uruchomienie art.4 Traktatu Waszyngtońskiego. Tak się zaczyna wojna Rosji z Ukrainą. Pytanie, jak potoczy się dalej.

Jeszcze wczoraj wielu miało nadzieję, że Rosja nie zaatakuje Ukrainy. Chociaż wojskowi powtarzali, że jeśli ktoś ściąga na granicę 150 tys. żołnierzy, to po coś to robi. Dziś już nikt nie ma wątpliwości po co. Pytanie na dziś: czy uda się zatrzymać Putina.

Polski ambasador na Ukrainie, Bartosz Cichocki, uważa, że tak. W wywiadzie udzielonym TVN24 powiedział, że nie wie jednak, czy świat podejmie taką decyzję. „Świat powinien pokonać barierę psychologiczną, że jest to wojna ponadlokalna. To nie jest wojna o Ukrainę. Stosownie do tego reagować”, – powiedział ambasador Cichocki.

Szefowa Komisji Europejskiej, Ursula von der Leyen, zapowiedziała przedstawienie olbrzymiego pakietu sankcji. Dotyczyć mają zablokowania dostępu Rosjanom do

technologii i rynków unijnych. „Zamrozimy rosyjskie aktywa w UE. Zatrzymamy dostęp rosyjskich banków do europejskich rynków finansowych. Celem Rosji nie jest tylko Donbas. Nie jest tylko Ukraina. Prezydent Putin chce cofnąć zegar do czasów imperium rosyjskiego. Historia udowodniła, że społeczeństwa i sojusze zbudowane na zaufaniu i wolności są odporne i zwycięskie. Właśnie tego boją się autokraci”, – mówiła przewodnicząca KE.



Po południu dowiemy się, co znajdzie się w drugiej transzy sankcji nakładanych na Rosję przez USA. To samo planują Wielka Brytania, Kanada i Australia. Są oczywiście wyjątki. Wczoraj były jeszcze wątpliwości, jak się zachować miał Orban. Trump o Putinie wypowiadał się z zachwytem. Dziś rano nowy ambasador USA w Polsce Mark Brzeziński w wywiadzie dla TVN24 powiedział, że Polska jest bezpieczna. Ameryka stoi ramię w ramię z Polską, jako z partnerem w NATO. Ambasador przypomniał, że mamy w Polsce 10 tys. żołnierzy amerykańskich. „Nasi żołnierze trenują z polskimi w lasach, w polach, w Polsce środkowej i wschodniej. Wykorzystują najlepsze technologie i najlepszy sprzęt. Putin powinien to jasno zrozumieć. Amerykanie i Polacy są gotowi na każdy scenariusz” mówił ambasador Brzeziński. Przypomniał też, że armia rosyjska liczy 200 tys. żołnierzy. NATO dysponuje 2 mln. Pod rosyjską ambasadą w Warszawie zebrali się protestujący przeciwko wojnie.

Na wschodzie Polski, przy granicy z Ukrainą, rząd organizuje punkty, w których mają otrzymać pomoc uchodźcy. Ukraińcy są przerażeni. Putin pokazał już, choćby w Czeczeni, że jest zdolny do wszystkiego.

Polacy są niesamowici

Są prawdziwymi braćmi Ukraińców, od kiedy zaczęła się agresja Rosji na Ukrainę, wszędzie brzmią te słowa – na Ukrainie i w Polsce. Wcześniej politycy ukraińscy nie zawsze traktowali Polaków w taki sposób. Prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie. Szczere wsparcie, dach nad głową, wyżywienie, zaopatrzenie w niezbędne rzeczy, przedszkola i szkoły dla dzieci, praca dla uratowanych obywateli Ukrainy – to wszystko zapewnili bracia Polacy. A w kościołach i klasztorach od rana do nocy modlą się w intencji Wojska Ukraińskiego, przybliżają Zwycięstwo Ukrainy w wojnie z bestialskim najeźdźcą. W XXI wieku moskowici mordują ukraińskie dzieci i cywilów w sposób najokrutniejszy, tak jak w Katyniu, kiedy zniszczyli 22 000 oficerów polskich. Związywali ręce i strzelali w tył głowy. Charakter pisma hord mongoło-tatarskich został taki sam, jak był w XII–XIII wiekach; mentalność hordy się nie zmieniła, tylko są już nie na koniach, a w czołgach; wszystko burzą, podpalają, sięją wszędzie śmierć, są sadystami do szpiku kości.

W państwach europejskich i w Ameryce są „bardzo zaniepokojeni”, dają Ukrainie trochę broni, trochę pieniędzy, chociaż Rosji płacą wielokrotnie więcej dolarów i euro za gaz i ropę naftową, wspierając w taki sposób nie Ukrainę, a Rosję i kontynuują wojnę.

Niemcy, Węgry, Austria, Francja, Włochy na różne sposoby usprawiedliwiają Rosję, bo chcą handlować z moskowitami, są obojętni wobec ludobójstwa, zagłady Ukraińców. Ameryka pomaga, ale w sposób niewystarczający, zwlekają z większymi sankcjami, z zaopatrzeniem w mocniejszą broń. Czy to jest równa walka? W Rosji jest 145 milionów mieszkańców, a w Ukrainie tylko 40. Nasz niezapomniany Papież Jan Paweł II mówił, że większe państwa powinny pomagać mniejszym w rozwoju i że Europa powinna być Europą DUCHA. Inaczej nie będzie dobrej przyszłości dla pokoju.

Czy można spokojnie spostrzegać, jak konsekwentnie niszczą państwo w środku Europy? Jak użyli Rosjanie broni chemicznej w Mariupolu? Żołnierze i oficerowie pułku „Azow” są skazańcami. I tylko Polacy wyciągają pomocniczą dłoń, tylko Polacy współczują i ratują Ukraińców. W Polsce są teraz 2,6 miliony obywateli Ukrainy. Jeszcze pomaga Wielka Brytania. Premier Borys Dżonson jest zaangażowany poważnie, daje współczesną broń.

W takich trudnych okolicznościach Polska dba także o rodaków: o Polonię ukraińską. Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”, która przez 30 lat współpracuje z Federacją Organizacji Polskich na Ukrainie, w tym z Domem Polskim w Kijowie, zapewniła zakwaterowanie i wyżywienie dla przedstawicieli Polonii ukraińskiej, zadbała o przywiezienie naszych działaczy do Domu Polonii w Pułtusku. Pani Anita Staszkiwicz, były Konsul Rzeczypospolitej Polskiej w Charkowie, osobiście skierowywała samochody po uchodźców.

Dyrektor Domu Polskiego w Kijowie Maria Siwko wielokrotnie telefonowała do każdego członka Federacji i organizowała wyjazd do Polski. Jej groziło niebezpieczeństwo, bo jak wiadomo, działacze polonijni na Białorusi siedzą w więzieniu (a to strefa rosyjska).

Pani Maria Siwko wówczas straciła głos, dbając o ewakuację każdego z nas, potem monitorowała podróż, telefonując i sprawdzając, czy żyjemy i czy dotarliśmy. Wskutek napięcia emocjonalnego pani Maria miała atak sercowy.

I teraz dyrektor Maria Siwko troszczy się o każdego z nas. Pyta, czy czegoś potrzebujemy.

A my, tutaj w Pułtusk, jesteśmy jak u Pana Boga za piecem.

Dyrektor Domu Polonii pan Michał Kisiel dba o uchodźców, jak o najbliższych krewnych, nie zostawia nikogo bez swojej opieki, kupuje dla nas lekarstwa, wozi do szpitala, wozi swoim busem do Warszawy w razie potrzeby, zawsze wspiera na duchu. On nie siedzi w gabinecie, a podchodzi do każdego z nas i pyta, jakie mamy problemy. On zorganizował pomoc humanitarną dla nas. Okazuje się, że Jego wybitni przodkowie pochodzą z Kijowa, byli zasłużonymi dla Polski Rusinami, mieli swój herb szlachecki. Pradziadek Pana Michała Adam Kisiel był senatorem, dużo zrobił dla rozwoju Polski.



Kiedy skończy się wojna po zwycięstwie Ukrainy, wrócimy na Ukrainę, znajdziemy w archiwum materiały o rodowodzie Adama Kisiela i przeprowadzimy konferencję w Domu Polskim. Zaprosimy również Pana Michała Kisiela, pracowników Ambasady RP na Ukrainie i Konsulatu RP w Kijowie.

Zaszczyciła uchodźców z Ukrainy swoją obecnością Pani Ambasadorowa Monika Cichocka. Ona odwiedziła nas 8 kwietnia br. W sali koncertowej zebrało się dużo ludzi. Przyjazd Pani Ambasadorowej był symboliczny, bo przedstawiciele Polonii Ukraińskiej często bywali zapraszani do Ambasady RP na obchody Świąt Narodowych, na konferencje i na spotkania okolicznościowe.

Pani Monika Cichocka powitała obecnych i poprosiła opowiedzieć skąd przyjechały kobiety z dziećmi i jakie mają problemy. Geografia przybyłych obejmuje całą Ukrainę: i z obwodu ługańskiego, rówieńskiego, wołyńskiego, żytomierskiego, kijowskiego i z Kijowa.

Pani Ambasadorowa opowiedziała, że martwi się o to, żeby barbarzyńcy nie zniszczyli katedry Świętego Włodzimierza w Kijowie, bo tam są malowidła wybitnych malarzy, w tym Kotarbińskiego.

Kiedy dyrektor Domu Polonii Michał Kisiel dowiedział się, że w Domu Polskim w Kijowie przygotowaliśmy prezentację o twórczości utalentowanego malarza – Polaka Wilhelma Kotarbińskiego, który 30 lat spędził w Kijowie, spuścizna jego jest niepowtarzalna – oznajmił, że zorganizuje wycieczki do muzeów Kotarbińskiego w Nieborowie i w Warszawie.

Na następny dzień przedstawiciele Polonii byli zaproszeni przez Pana Michała Kisiela na wieczór pamięci ofiar Katastrofy Smoleńskiej 2010 r. Łzy, przemówienia, komentarze... Prezydent Polski Andrzej Duda powiedział, że cały świat już wie, że sprawcami zbrodni w Smoleńsku, w Buczy i Mariupolu byli ci sami mordercy. Podczas uroczystego zebrania zabierał głos minister rolnictwa Pan Henryk Kowalczyk, mówił, że współpracuje z ministerstwem ukraińskim i obawia się, że jeżeli żołnierze rosyjscy nadal będą strzelali do traktorzystów i rolników ukraińskich w polu i nie dadzą siał, to będzie głód w wielu państwach.



Wiceprezes Stowarzyszenia Polskiego z Charkowa pani Tamara Giedrojc-Rodenko opowiedziała, że dostała wiadomość o tym, że armia rosyjska zbombardowała Cmentarz Katyński, żeby zniszczyć pamięć o zbrodni. Ale naród polski nigdy nie zapomni o Tragedii Katyńskiej i o swoich bohaterach.

Polacy i Ukraińcy mają wspólnego wroga, który przez kilka stuleci terroryzuje, niszczy, zabija. Walka jest ciężka, ale Ukraina przy pomocy Polski zwycięży!

Przypomnijmy koncepcję genialnego marszałka Józefa Piłsudskiego o Międzymorzu. Teraz ta idea się wciela.

*Nadzieja Susznicka,
nauczycielka języka polskiego w Kijowie*

Wojna na Ukrainie

Dzisiaj czwartek 10 marca. Jestem obecnie w stanie, gdy trudno wyrazić słowami swoje emocje, uczucia i myśli. Rosyjska inwazja na Ukrainę z dnia na dzień staje się coraz bardziej krwawa. Zbombardowanych zostało wiele budynków zamieszkiwanych przez ludność cywilną, szpitale, przedszkola, najważniejsze obiekty infrastruktury. Giną ludzie. Rosjanie nie tylko przekroczyli granicę niedopuszczalnych relacji międzypaństwowych, ale również przekroczyli wszelkie granice pojęcia człowieczeństwa. Nia mają żadnego prawa nazywać siebie ludźmi.

Szanowni Państwo. Dom Polski w Barze, organizacja od wielu lat wspomagająca i animująca polskie życie na Podolu, od 24.02.2022 r. była zmuszona zmienić swoją statutową działalność. Zamiast dziecięcego śmiechu i gwaru słycać teraz płacz dzieci, a w oczach matek – wyraz strachu. W salkach, gdzie dzieci tańczyły i śpiewały, gdzie uczyły się języka polskiego i z taką radością ćwiczyły role do przedstawienia o „*Sierotce Marysi*” M. Konopnickiej, teraz stoją łózka. Obecnie Dom Polski w Barze jest miejscem, w którym ludność (przeważnie rodziny z dziećmi) uciekająca z miast zniszczonych przez rosyjskich okupantów, znajduje schronienie oraz wszechstronną opiekę. Opuszczając naszą placówkę ludzie z wdzięcznością wpisują podziękowania do księgi pamiątkowej, do której wcześniej były wpisywane wrażenia ze wspólnego przeżywania imprez kulturalnych. W tej chwili wszyscy Ukraińcy, niezależnie od przynależności etnicznej, zjednoczyli się w jednym celu – obrony swojego kraju, swojej ziemi.

My, Polacy, mieszkający na Podolu, w sposób szczególny wyczuwamy potrzebę pozostania na ziemi, w którą od pokoleń wsiąkała krew naszych przodków. Walczyli oni z mocarstwem rosyjskim jeszcze od czasów Konfederacji Barskiej, mocno wierząc, że wróg ich nie złamie.

Drodzy Rodacy, Przyjaciele, jestem wzruszona i niezmiernie wdzięczna za troskę i pomoc jaką nam okazujecie, za Wasze Wielkie Serca, za to, że nie jest wam obojętny los zwykłych ludzi potrzebujących pomocy. Na konto Domu Polskiego codziennie wpływają pieniądze z różnych miast Polski – od znajomych i przyjaciół oraz od ludzi, których osobiście nie znam. Zbiórka pieniężna w zaistniałej sytuacji jest najbardziej potrzebna. Każdy grosz jest dla nas wsparciem. Dlatego z przyjemnością dzielimy się z wami wdzięcznością, którą obdarzają nas uciekinierzy. W związku z tym pragnę gorąco podziękować za pomoc finansową wrocławianom: Państwu Dąbrowskim, Bożenie Słupskiej, siostram Alicji i Jolancie Pac. Nasze podziękowania również dla Michała Sroki, Jana Kowala, Ewy Wojnarowskiej, Andrzeja Robacza, Elizy Bator, Anny Rotko, J. Szeligi.

Dom Polski dziękuje również Ewie Żuławskiej-Bogackiej z Warszawy, Ewie i Monice Osinkowskim z Sandomierza, Zofii Buyno-Maleszy z Warszawy. Dziękujemy serdecznie za wsparcie finansowe Przyjaciołom z Fundacji Polska 360, Kwizdyńskiego Stowarzyszenia Oświatowego oraz Polskiej Sceny Muzycznej.

Przesyłamy dla Was wszystkich niski ukłon z Podola.

Dyrektor Domu Polskiego w Barze
Małgorzata Miedwiediewa

Od serca do serca

Najbardziej nieoczekiwanym zjawiskiem początku XXI wieku jest wojna. Nad ranem 24 lutego 2022 roku wojska rosyjskie ze wschodu, północy i południa uderzyły na pokojowe tereny ukraińskie, niszcząc na swoim szlaku najpierw bazy wojskowe, składy amunicji, lotniska, mosty, a następnie ostrzeliwując z ładu oraz z powietrza ludność pokojową oraz ich domy. Nikt z obywateli się nie spodziewał takiego aktu ludobójstwa ze strony rosjii na pokojowe Państwo Ukraińskie.

Na skutek ataków zbrojnych ogromne tysiące przerażonej ludności ze wszystkich stron państwa, pokonując ogromne odległości samochodami, autokarami, pociągami czy nawet pieszo zaczęły udawać się w stronę granicy z Unią Europejską: do Polski, Słowacji, Węgier, Rumunii... Ze względu na ilość jadących i idących osób niemożliwym było, by na granicach odprawa odbywała się na bieżąco. Kolejki sięgały kilkudziesięciu kilometrów przed wszystkimi przejściami granicznymi. Na całej trasie uchodźcy byli wspierani przez ludność miejscową.

Do takiej pomocy dołączyła się i społeczność szkoły polskiej w Mościskach na czele z dyrektorką Teresą Teterycz. Już w pierwszym dniu w szkole zostały zorganizowane noclegi dla uchodźców. Oprócz noclegu należało zorganizować też wyżywienie. Na apel o pomocy odezwali się ludzie dobrej woli, przynosząc do szkoły materace, koce, karimaty, kołdry, poduszki, śpiwory, odzież oraz żywność. W szkole daliśmy schronienie około 460 uchodźcom. Byli to ludzie w różnym wieku i o różnym kolorze skóry: starsi i młodszy, kobiety i mężczyźni, matki z dziećmi (najmłodsze dziecko miało osiem miesięcy), studenci ukraińskich uczelni pochodzący z Afganistanu, Pakistanu, Tadżykistanu, Indii, Libanu. Niektóre osoby zabierały ze sobą nawet zwierzęta. W oczach tych wszystkich osób widzieliśmy jednocześnie przerażenie i ogromną wdzięczność. Do pomocy uchodźcom zaangażowali się zarówno nauczyciele jak i uczniowie szkoły. Pomoc była nadawana



na terenie szkoły i w obrębie miasta na trasie do granicy. Zorganizowane były dyżury, dzieci i dorośli robili kanapki, roznosili ciepłe jedzenie i picie, pomagali, wspierali, służyli w każdej potrzebie. Każdy ze łzami w oczach i z drzeniem w głosie z całego serca dziękował za okazane ciepło i życzliwość.

Dobroć jest największą wartością naszego życia. Jest to ta jakość, która kosztuje tak tanio, ale ceni się niezmiernie drogo. Nie można jej kupić za żadne pieniądze, po kropelce jest wychowywana od najmłodszych lat. Miłosierdzie, szczerłość, współczucie, umiejętność reagowania na ból innych – te cechy tkwią w osobach litościwych wobec sierot, niepełnosprawnych, ciężko chorych, starszych i potrzebujących...

Od 6 do 12 marca szkoła polska nr 3 im. Królowej Jadwigi w Mościskach gościła dzieci niepełnosprawne, ich rodziców i pracowników Okręgowego Centrum Klinicznego Rehabilitacji Medycznej i Opieki Paliatywnej Dzieci „Hipokrates” w Charkowie, którzy z powodu wojny zostali zmuszeni do opuszczenia swoich rodzin i domów.

W czasie pobytu w placówce oświatowej grupie również towarzyszyły: Myroslawa Pelc, mer Mościsk, oraz Nadija Hnatowska, naczelnik Wydziału Oświaty, Młodzieży i Sportu.

Na uwagę zasługuje również współpraca administracji, nauczycieli i pracowników szkoły, którzy pomagali potrzebującym i pełnili całonocny dyżur, aby nasi goście czuli się jak w domu, jak również nieustanna pomoc wolontariuszy, którzy troszczyli się, by nasi goście nie byli głodni.

Opuszczając Mościska, pracownicy ośrodka wpisali w księdze pamięci wzruszające słowa wdzięczności, skierowane na ręce Pani Dyrektor i wychowawców szkoły za stałą opiekę, troskę, szczerze współczucie dla małych dzieci ze specjalnymi potrzebami.

Do dziś nieustannie każdy z nas stara się w jakikolwiek sposób pomagać i wspierać również ukraińskich żołnierzy walczących z rosjanami, zbierając żywność, ubrania, szyjąc flagi narodowe, odznaczenia w barwach państwowych Ukrainy, robiąc siatki dla frontu, a młodsze dzieci szkolne, by podtrzymać duch bojowy wojska, rysują dla nich rysunki i piszą listy.

Również nasza szkoła jest jednym z punktów, do którego przywożona jest pomoc humanitarna z Polski, a jest to: żywność, konserwy mięsne, słodczyce, woda, środki czystości, ubrania itp. Część pomocy jest nadal przekazywana do miejsc skupisk uchodźców, gdyż ciągle wiele ludności ucieka z ostrzeliwanych miejsc na Zachód, a wszystko pozostałe jest pakowane do busów ukraińskich i przewożone dla żołnierzy walczących na frontach z okupantem rosyjskim.

Kierujemy ogromne słowa wdzięczności na ręce wszystkich Polaków, którzy w tych bardzo trudnych czasach otworzyli swoje serca, swoje domy i tak hojnie wspierają Państwo Ukraińskie. Wasza pomoc jest nieoceniona.

Razem idźmy do Zwycięstwa!!!

Chwała Ukrainie!!! Chwała Polsce!!!

*Ludmiła Gandz,
wicedyrektor szkoły polskiej nr 3 im. Królowej Jadwigi w Mościskach*

Z życia organizacji członkowskich FOPnU

MIKOŁAJÓW. Od 10 lat dzieci Towarzystwa Kultury Polskiej „*Polonia Semper Fidelis*” w Mikołajowie otrzymują prezenty, bilety na „choinkę Gubernatorską” oraz bilety do teatru na wspólne świętowanie Bożego Narodzenia.

Rok 2021 nie był wyjątkiem. W dniach 24 i 30 grudnia odbyły się tradycyjne gratulacje naszych pociech.



Wydział Kultury wraz z Gubernatorem podarowali dzieciom z Towarzystwa „*Polonia Semper Fidelis*” wspaniały występ i prezenty.

Rada Narodowości przekazała dzieciom i ich rodzicom bilety do Akademickiego Teatru Sztuki oraz słodkie upominki. Tam, gdzie są dzieci, są słodczyce.

Olga Dorina, „Polonia Semper Fidelis”, Mikołajów

Raport z działalności „Stowarzyszenia Kultury Polskiej im. św. Jana Pawła II” w Zaporoziu w 2021 r.

06.02 – uroczystości odsłonięcia pomnika i otwarcia ulicy św. Jana Pawła II oraz odsłonięcia popiersia Feliksa Mołczanowskiego w Zaporoziu.

11.02 – Tłusty Czwartek.

28.02 – prezentacja polskich bajek w Centrum Kultur Narodowych.

27.02 – wykład-prezentacja „*Pamiętaj o żołnierzach wyklętych*” z okazji Narodowego Dnia Pamięci 1 marca.

14.03 – wieczór poświęcony Żołnierzom Wyklętym w trakcie historycznych gier planszowych.

27.03 – projekt online „*Wiosna. Razem pod jednym Niebem*”.

W projekcie wzięli udział – Stowarzyszenie Kultury Polskiej im. św. Jana Pawła II w Zaporoziu, dziecięce kółko „*Lolek – Polak mały w Zaporoziu*”, Szkoła Podstawowa nr 7 im. gen. Władysława Andersa w Gdańsku, Zespół Szkół Specjalnych nr 28 w Częstochowie, Świetlica św. Marii Goretti USA oraz Zaporoska Ogólnokształcąca Szkoła nr 49.

18.04 – Narodowy Dzień Czytania Pisma Świętego.

02.05 – Święto Flagi Rzeczypospolitej Polski i Dzień Polonii i Polaków za Granicą.

17.05 – Polski Miejski Bal im. Feliksa Mołczanowskiego w ramach VII Dni Kultury Polskiej „*Pod jednym niebem*” pod patronatem i z udziałem Konsulatu Generalnego RP w Charkowie.

„*Dobry geniusz Aleksandrowska*” – spektakl Teatru Polonijnego im. bp. Stanisława Padewskiego.



30.05 – Majówka Różańcowa w Sanktuarium Boga Ojca Miłosiernego.

01.06 – Dzień Dziecka.

25.06 – wystawa do 30-lecia Czwórki Wyszegradzkiej na wyspie Chortycia.

19.07 – Festiwal Rodziny w Dębowym Gaju.

04/05.09 – Narodowe Czytanie dramatu G. Zapolskiej „*Moralność Pani Duskiej*”.

Uczestnicy – Stowarzyszenie Kultury Polskiej im. św. Jana Pawła II wraz z Stowarzyszeniem Międzynarodowy Motocyklowy Rajd Katyński, Konsulat Generalny RP w Charkowie, Teatr Polonijny im. bp. Stanisława Padewskiego.

14.09 – III Międzynarodowa Konferencja „*Współpraca edukacyjna Gdańsk – Lwów – Odessa – Kutaisi – Batumi – Zaporże*”.

18.09 – XXII Katyński Bieg pamięci ofiar totalitaryzmu.

02.10 – otwarcie gabinetu języka polskiego w Gimnazjum Lingwistycznym nr 71 w Zaporżu w obecności Konsula Generalnego Piotra Stachańczyka, dyrektora Instytutu Polskiego w Kijowie Roberta Czyżewskiego i bp Jana Sobilo.

03.10 – wystawa poświęcona 230. rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja, zorganizowana pod patronatem Instytutu Polskiego w Kijowie, Konsulatu Generalnego RP w Charkowie oraz Muzeum Historii Kozaków Zaporoskich na wyspie Chortycia.

07.11 – Polonijny Bieg Niepodległości 1918–2021.

11.11 – Dzień Niepodległości, złożenie kwiatów pod pomnikiem Ofiar Katyńskich.

28.11.2021 spektakl Teatru Polonijnego im. bp Jana Padowskiego „Róża Papieska” w Melitopolu.

04.12.2021 spektakl Teatru Polonijnego im. bp Jana Padowskiego „Róża Papieska” w Charkowie.

*Biskup pomocniczy Diecezji Charkowsko-Zaporoskiej, Jan Sobilo
Prezes Stowarzyszenia Kultury Polskiej im. św. Jana Pawła II, Irena Szyrowa*

KOWEL. Mieszkańcy Kowla wspaniale organizują się i pomagają uchodźcom ze wschodu Ukrainy oraz wspierają wojsko. W te działania włączyli się także członkowie Towarzystwa Kultury Polskiej. Członkowie Towarzystwa biorą również udział w robieniu siatek maskujących, przygotowywaniu jedzenia dla uchodźców, robieniu bandaży i sortowaniu odzieży.



Najstarsi członkowie Towarzystwa Kultury Polskiej w Kowlu otrzymali pomoc finansową od osób prywatnych z Brzegu Dolnego, od członków Towarzystwa Miłośników Wołynia i Polesia z Chełma, od Andrzeja Golca i jego córki, od rodziny Bartoszewskich ze strony babci prezesa TKP w Kowlu, od Alicji Pszczółkowskiej i jej brata z Warszawy. Pomoc organizował i koordynował prezes TKP Anatol Herka.

Wszyscy prawosławni i katolicy modlą się o jak najszybszy pokój na Ukrainie oraz o spokój duszy poległych żołnierzy w obronie Ojczyzny.

Prezes TKP w Kowlu, Anatol Herka

20 lat minęło jak jeden dzień...

Mamy za sobą wielki bagaż działalności i patrzymy w przyszłość z nadzieją. Jesteśmy pełni energii i mamy wiele planów i projektów, które pragniemy realizować. Kulturalno-innowacyjna platforma „Teplycia” i Centrum Kultury „Prometeusz” udzieliły nam gościny. I było jak zawsze w „Rodzinie” – ciepło, przytulnie i tym razem wiele słów podziękowań i wdzięczności, dyplomów uznania, prezentów i kwiatów. Atmosferę podtrzymywał nasz zespół „Wszystko w porządku” swoimi ulubionymi i nowymi pieśniami. Wystąpił też teatrzyk „Otwarte drzwi” ze spektaklem „Koronawirus” oraz nasze najmłodsze dzieciaki oryginalnie zaśpiewały „Miała baba koguta”. I jak w rodzinie nie mogliśmy nie wspomnieć o tych, których z nami już nigdy nie będzie, ale którzy pozostaną w naszych sercach i w naszej pamięci – Genefa Rubanowa i Andrzej Popławski. Wiele było życzeń od naszych członków, którzy wyjechali do Polski.



Mieliśmy zaszczyt gościć na naszym święcie radcę konsula Wydziału Konsularnego i Polonii Ambasady RP w Kijowie Jacka Gocłowskiego, dyrektora „Domu Polskiego” w Kijowie Marię Siwko, redaktora naczelnego „Dziennika Kijowskiego” Stanisława Panteluka, redaktora „Dziennika Kijowskiego” Andżelikę Płaksiną, zastępcę mera miasta Browary Petra Babycza, kierownika Wydziału Kultury Obwodowej Administracji Dmytra Gonczarenka, przedstawicieli Wydziału Kultury Miejskiej Rady w Browarach, dyrektorke Szkoły Artystycznej Walentyne Szykułę, dyrektorke „Teplyc” Olenę Tanczyniec. Otrzymaliśmy podziękowania i prezenty. Został odczytany list z podziękowaniem i życzeniami od Pani Prezes Fundacji „Wolność i Demokracja” Lilii Luboniewicz. Bez wsparcia Fundacji nie udałooby się nam zrealizować tego wydarzenia.

Helena Nowak

120 lat Domu Polskiemu w Czerniowcach

Droga Polska Rodzino! Drodzy Bukowińczycy!



1 lutego obchodzimy 120. rocznicę od dnia założenia Domu Polskiego w Czerniowcach. Właśnie w 1902 r. polskie organizacje społeczne Bukowiny wykupiły u obywatelki miasta pani Marii Jakubowicz budynek przy ulicy Pańskiej (Herrengasse) 40., obecnie to ulica Olgi Kobyłańskiej 36, dla potrzeb Polonii bukowińskiej. Dzięki liderom organizacji polonijnych tego czasu, a byli to: Alfred Strzelbicki, Tadeusz Miszke, Władysław Sołtyński, Jakub Symonowicz, Klemens Kołakowski, Stanisław Wład, Alfred Halban, Jan Kapri, Władysław Mieżwiński, Władysław Korytyński i wielu innych, Polacy Bukowiny otrzymali piękną siedzibę w centrum Czerniowiec. W 1944 r. działalność Domów Narodowych została zabroniona i ich siedziby jako własność odebrano. I tylko

popowstaniu Obwodowego Towarzystwa Kultury Polskiej im. Adama Mickiewicza w 1989 r., dzięki aktywności pierwszego prezesa Jadwigi-Wandy Kuczabińskiej, Polacy otrzymali w listopadzie 1992 r. niewielką część swego historycznego Domu Polskiego. Pamiętamy i dziękujemy wszystkim, kto przyczynił się do remontu, rekonstrukcji odrodzonego Domu Polskiego i jego dalszego rozwoju. Dziękujemy naszym partnerom w Polsce – Stowarzyszeniu „Wspólnota Polska”, Fundacji „Wolność i Demokracja”, Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie, samorządowi w Rzgowie, Rodakom w Lubaniu, Zielonej Górze, Nowej Soli, władzom m. Czerniowce i obwodu czerniowieckiego za stałą pomoc w działalności Domu Polskiego i Towarzystwa. Od samego początku Polacy mówili, że jest to Dom Polski. Dom – wiąże się przede wszystkim ze słowem rodzina, czym niewątpliwie jest nieliczna, ale prężna polska wspólnota w naszym mieście i obwodzie. 120 lat – to poważny wiek. Nie ma z nami wielu członków organizacji, którzy stali u jej początków. Ale dzieło ich życia nie zostało zapomniane – młode pokolenie godnie pracuje, rozwija polskość, o którą w latach 90. walczyli nasi weterani.

W imieniu Zarządu Głównego Organizacji Społecznej „Obwodowe Towarzystwo Kultury Polskiej im. Adama Mickiewicza” składamy na ręce członków Towarzystwa oraz wszystkich Bukowińczyków najserdeczniejsze życzenia zdrowia, natchnienia, powodzenia we wszystkich działaniach. Niech Bóg chroni Polaków Bukowiny i błogosławi wszelkie Państwa inicjatywy.

*Władysław Strutyński, Prezes Zarządu Głównego
Organizacji Społecznej „Obwodowe TKP im. Adama Mickiewicza” Czerniowce,
01.02.2022 r.*

Kochani nasi dalecy Rodacy!

Historia jest ważną w dziejach każdego narodu. Tego dotrzymanywali się nasi przodkowie, dotzymujemy się my i dotrzymanywać się będą nasi potomkowie.

Chociaż dzielą nas duże odległości, wciąż jesteśmy razem – od 1989 r. Współpracujemy, popieramy się nawzajem. Tak było i tak będzie nadal.

Życzymy powodzenia i nowych osiągnięć w dalszej działalności Towarzystwa.

Redakcja „ND”

POLONISTA SCHOLARSHIP AND FELLOWSHIP PROGRAMME



STUDENTS AND DOCTORAL STUDENTS:
SCHOLARSHIP FOR FULL OR PARTIAL (1 OR 2 SEMESTERS) STUDIES IN POLAND

RESEARCHERS:
FELLOWSHIP FOR RESEARCH PROJECTS IN POLAND IN THE FIELD OF POLISH STUDIES:
LANGUAGE, CULTURE, LITERATURE, ART, HISTORY (FROM 3 TO 12 MONTHS)

CALL FOR PROPOSALS MARCH-APRIL 2022

 Details: nawa.gov.pl/jezyk-polski

POLONISTA



NAWA
POLISH NATIONAL AGENCY
FOR ACADEMIC EXCHANGE

Andżelika Borys w areszcie domowym



Zgodnie z potwierdzonymi przez polski MSZ informacjami Andżelika Borys opuściła 25 marca 2022 roku białoruski areszt śledczy. Zastosowano wobec niej inny „środek zapobiegawczy” – w postaci aresztu domowego. Oznacza to, że śledztwo przeciwko prezes ZPB wciąż się toczy, ale przed sądem – jeśli do takiego dojdzie – będzie mogła odpowiadać z wolnej stopy.

Andżelika Borys spędziła w więzieniu ponad rok – została aresztowana 23 marca 2021 r. Od 2016 roku jest przewodniczącą Związku Polaków na Białorusi. Wcześniej piastowała tę funkcję w latach 2005–2010.

Z prośbą do Aleksandra Łukaszenki o uwolnienie córki wystąpiła mama Andżeliki Borys. Pani Prezes za pośrednictwem swojego zastępcy Marka Zaniewskiego przekazała, że „dziękuje wszystkim za wsparcie, starania i podtrzymywanie na duchu”. Na razie nie może się z nikim kontaktować.

„Niezwyczajnie cieszę się z uwolnienia Pani Andżeliki Borys z aresztu. Nie zapominamy o innych więźniach politycznych na Białorusi a w szczególności o Andrzeju Poczobucie. Nie chcę wchodzić w szczegóły, ale polska dyplomacja zabiegała o to rozwiązanie od bardzo długiego czasu. Jest to bardzo ważne, bo chodzi o osobę, która była bez żadnego powodu osadzona w więzieniu i z tego, co wiemy, nie cieszy się najlepszym zdrowiem” – napisał na Twitterze szef polskiej dyplomacji minister Zbigniew Rau.

„Prezes Związku Polaków na Białorusi Andżelika Borys opuściła areszt i jest już na wolności. Pozostaje na terytorium Białorusi. Jest w kontakcie z polskimi dyplomatami i zostanie objęta odpowiednią opieką” – poinformował w piątek na Twitterze wiceszef MSZ Marcin Przydacz.

„To dobra wiadomość, ale powinniśmy rozumieć, że to nie wolność, lecz areszt domowy. My nie powinniśmy na to patrzeć jak na liberalizację ze strony reżimu Łukaszenki. Powinniśmy rozumieć, że u nas są tysiące osób represjonowanych i trzeba się o nich upominać, dopóki wszyscy nie będą na wolności” – skomentowała sytuację liderka białoruskiej opozycji Swiatłana Cichanouska.

Zdaniem byłego ambasadora Białorusi w Polsce Pawła Łatuszka *„białoruscy propagandyści chcą to przedstawić w taki sposób, że Łukaszenka robi gest wobec Polski, nie należy jednak zapominać, że nadal w więzieniach znajduje się Andrzej Poczobut i 1100 więźniów politycznych”*.

*Informacja: Europejska Unia Wspólnot Polonijnych
Na podstawie: Polonijna Agencja Informacyjna dla EUWP*

Narodowo-Kulturalne Stowarzyszenie Polaków „Polska Nuta”



Narodowo-Kulturalne Stowarzyszenie Polaków „Polska Nuta” powstało oficjalnie w 2013 r., chociaż prowadziliśmy aktywną działalność już wcześniej. Na samym początku działalności Stowarzyszenia nie stawiali żadnych ograniczeń – do nas przychodzą osoby w różnym wieku, wykształcenia i narodowości. Jesteśmy młodą organizacją, która promuje polską kulturę w Odessie. Opowiadamy o Polsce, o tym, że mamy wspólnego, co warto zobaczyć, przyjeżdżając do Polski. Każda chętna osoba może uczyć się języków obcych i dlatego w naszym Stowarzyszeniu prowadzone są zajęcia z języka polskiego.

Doświadczyliśmy w czasie naszej działalności, że Polacy w Odessie nadal są obecni. Przypominają sobie opowieści dziadków i zaczynają interesować się tym, kim są z pochodzenia. Dlaczego nazwaliśmy się „Polska Nuta”? Ponieważ najpierw powstał chór o tej samej nazwie, później wokół chóru rozwijało się Stowarzyszenie. Chór występuje z koncertami na Ukrainie i poza jej granicami. Przyjeżdżaliśmy również z występami do Polski, a w 2017 r. zajęliśmy drugie miejsce na Kresowym Festiwalu „Mrągowo 2017”. Również organizujemy swój ekumeniczny festiwal „Dzwony Bożego Narodzenia”. W styczniu, gdy najpierw katolicy, a później prawosławni obchodzą Boże Narodzenie, zapraszamy chóry i solistów, by wspólnie śpiewać kolędy.

Również dołączamy do kulturalnego życia miasta – występujemy na koncertach z okazji Dnia Miasta, Dni Unii Europejskiej, jarmarku książki „Zielona fala” oraz każdego roku uczestniczymy w Dyplomatycznym Charytatywnym Jarmarku. Przy Stowarzyszeniu działa też studio plastyczne „Złote ręce”. Do studia może przyjść każda osoba niezależnie od wieku i umiejętności artystycznych. Uczestniczymy w wystawach i już zdobyliśmy pierwsze nagrody.

W ramach naszej działalności odbywają się też lekcje z kultury i historii Polski. Przy Stowarzyszeniu działa biblioteka, która powstała dzięki członkom, ale głównie dzięki zbiórce przeprowadzonej w Bielsko-Białej przez mieszkańców Słonecznego.

Młodzież NKSP „Polska Nuta” miała przyjemność uczestniczyć w wyjazdach integracyjnych i kształcić się z rówieśnikami z innych krajów i z Polski. NKSP „Polska Nuta”, pamiętając o trudnych początkach i wiedząc, jak cenna jest każda pomoc, pomaga nowym Stowarzyszeniom polskim. Dzielimy się literaturą metodyczną, pożyczamy stroje ludowe i teatralne, które uszyliśmy na koszt własny, piszemy aranżacje i podkłady muzyczne dla każdego, kto zwraca się do nas z taką prośbą.

W kronikach Stowarzyszenia znajdują się również takie przedsięwzięcia jak wspólne święto organizowane z Konsulatem Turcji w Odessie i Konsulatem Generalnym RP w Odessie dotyczące 600-lecia stosunków dyplomatycznych Polski i Turcji, wspólne święto „Polak-Węgier dwa bratanki”, na które zapraszaliśmy Węgrów mieszkających w Odessie oraz przedstawicieli Ambasady Węgier w Kijowie.

Zawsze organizujemy koncerty z okazji świąt narodowych Polski, uczestniczymy w Narodowym Czytaniu i Polonijnym Dniu Dwujęzyczności. Warto dodać, że w Odessie mieszka ponad 134 narodowości, więc u nas ten dzień wygląda wielokulturowo i wielojęzycznie.

Podsumować swoją działalność możemy następująco: jesteśmy odesytami polskiego pochodzenia, otwartymi na każdą osobę niezależnie od jej poglądów religijnych i pochodzenia, gdyż właśnie taka jest nasza Odessa.



Jeszcze przed oficjalnym położeniem cegieł pod fundamenty miasta, pierwsze wspomnienia o Polakach sięgają 1415 r. i mówią nam, że dawniej na tych terenach znajdowało się małe miasteczko Koczubej, nazwane od imienia polsko-litewskiego magnata Kociuby Jakuszyńskiego. Rok 1794 był rokiem urodzin Odessy, do której przyjechało około trzystu Polaków. Byli to przedsiębiorcy, założyciele Towarzystwa Handlu. Przewodniczącym Towarzystwa był Protazy Potocki.

Niepowtarzalny klimat i ziemia sprawiły, że do młodej Odessy przyjechali rolnicy. Wokół miasta powstały liczne polskie wsie, m.in. Krzyżanówka, Bliskie i Dalekie Młyny – już po ich nazwach widać, że mieszkańcy tych wsi zajmowali się uprawą zboża. Cały handel zbożem prowadzony był przez Polaków. Zboże przywożono ulicą, którą później nazwano Polski Zjazd, a nad tym zjazdem powstała jeszcze jedna z ulic miasta – ulica Polska. To historyczne miejsce nadal istnieje.

Od tamtych dni Odessa stała się dla Polaków drugim domem, ale nigdy Polacy z Odessy nie zapomnieli i nie stracili kontaktu z Polską. Oprócz rolnictwa i uprawy zboża Polacy w Odessie inwestowali w ekonomiczny i kulturalny rozwój miasta. To dzięki nim powstał pierwszy teatr. W dawnych czasach hrabina Rzewuska zaszczepiła całemu miastu zamiłowanie do sztuki. Najpierw na deskach teatru występowały polskie trupy aktorskie, a chwilę później pojawili się aktorzy z Włoch i Francji.

Miasto zaczęło rozwijać się w szalonym tempie, a więc i teatr przydałby się odpowiedni – większy, ładniejszy i jak przystało na Odessę, wyjątkowy. Zlecenie na projekt nowego Teatru Opery i Baletu dostała wiedeńska spółka „*Fellner i Helmer*”. Wzorowany na teatrze w Dreźnie projekt został wysłany do Odessy. Tu na miejscu budową i zdobieniem zewnętrznej oraz wewnętrznej strony zajmowali się miejscowi architekci pod przewodnictwem polskiego architekta Feliksa Gąsiorowskiego. Uroczyste otwarcie Teatru Opery i Baletu w Odessie odbyło się w 1887 r. Projektanci, którzy w końcu dojechali do miasta, rzekli jedynie, że jest to najpiękniejszy teatr na świecie! Architekt Feliks Gąsiorowski wybudował w sumie około 150 kamienic, z których przetrwała połowa i nadal zdobi nasze miasto. Jednak polskich architektów było znacznie więcej w Odessie, niż możemy sobie wyobrazić.

Później większa część Polaków została zesłana na te tereny, począwszy od czasów klęski powstania listopadowego w 1831 r. I jeśli teraz Odessa kwitnąca i zielona, to ponad dwieście lat temu tu nie było nic – tylko stępy, kurz i wiatr. Pierwsze rośliny i drzewa, a przede wszystkim ziemia, zostały przywiezione do Odessy z parku Potockich w Humaniu. Stamtąd przyjechała także bożonarodzeniowa choinka... Tym samym przez Polaków została wprowadzona kolejna piękna tradycja – stawianie udekorowanej choinki na Boże Narodzenie.

Według danych z 1910 r. w samej Odessie mieszkało 30 tys. Polaków, nie licząc pozostałych 60 tys. osób polskiego pochodzenia mieszkających w obwodzie miasta. W tym czasie w mieście funkcjonowały kościoły, dwie placówki pomocy finansowej założone przez Polaków, Polski Dom, wydawano 11 czasopism i magazynów drukowanych w języku polskim, była także biblioteka publiczna.

Dokąd polskie ślady zaprowadzą nas teraz?

Cóż, gdyby przetrwał I Cmentarz Chrześcijański, a nie został zrównany z ziemią w 1937 r., gdyby pomniki, które były arcydziełami rzeźbiarstwa, stały nadal, to napewno moglibyśmy powiedzieć, że przodkowie nadal są z nami. Jednak rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej. Nie ma już cmentarza, ale jeszcze można ocalić od zapomnienia i zniszczenia II Cmentarz Chrześcijański, szczególnie dzielnicę katolicką, czyli miejsca, gdzie nadal są polskie groby.

II Cmentarz Chrześcijański został założony w 1885 r. z powodu braku miejsc na poprzednim. Już w 1977 r. był zakonserwowany, jednak nadal pojawiają się nowe groby, które stawiane są na miejscu starych.

Narodowo-Kulturalne Stowarzyszenie Polaków „*Polska Nuta*” podjęła inicjatywę sprzątnięcia polskich grobów, by było widać, że się nie zapomina o polskiej historii miasta. Podtrzymanie pamięci o Polakach jest naszym celem, ale również prowadzimy działalność, która pozwala mieszkańcom miasta poznać współczesną Polskę.

Sonia Pajgert,
NKSP „*Polska Nuta*”, Odessa

Noblista z Nowolipek



Gdyby poprosić przeciętnego Polaka o wymienienie kilku nazwisk z polskich noblistów, zapewne wspomnieliby Lecha Wałęsę, Marię Skłodowską-Curie, Henryka Sienkiewicza, Władysława Reymonta czy Olę Tokarczuk. Natomiast niemal napewno nie padłoby nazwisko Józefa Rotblata, o którym w Polsce mało kto wie i rzadko się wspomina. Być może dlatego, że w momencie odbierania Pokojowej Nagrody Nobla w 1995 roku Rotblat był obywatelem Wielkiej Brytanii. Jednak do końca życia twierdził, że jest Polakiem z brytyjskim paszportem...

Syn furmana. Józef Rotblat urodził się w Warszawie w 1908 roku w rodzinie żydowskiego furmana na warszawskich Nowolipkach. Po I wojnie światowej jego rodziców nie było stać na wysłanie go do szkoły średniej, w związku z czym przyszły naukowiec zaczął naukę w żydowskiej szkole rzemieślniczej i w ten sposób stał się wykwalifikowanym elektromonterem. Następnie został w 1928 r. przyjęty na studia w Wolnej Wszechnicy Polskiej, co było możliwe dlatego, iż studenci tej uczelni nie musieli posiadać dyplomu ukończenia szkoły średniej. Rok później zainteresował się fizyką i stał się podopiecznym profesora Ludwika Wertensteina, ówczesnego dyrektora Laboratorium Radiologicznego. Wieczorowo uczęszczał na zajęcia, a w ciągu dnia pracował nadal jako elektryk.

W trakcie następnych dziesięciu lat Rotblat zdał eksternistycznie maturę, po czym uzyskał magisterium oraz doktorat na Uniwersytecie Warszawskim. Był uparty, bardzo zdolny i – na jego szczęście – spotykał odpowiednich ludzi na swojej drodze do dalszej kariery. Dzięki Wertensteinowi zdobył stypendium w Liverpoolu, gdzie miał uczyć się od fizyka światowej sławy, Jamesa Chadwicka. Wyruszył do Wielkiej Brytanii wiosną 1939 r., mimo iż obawiał się, że w Europie wkrótce wybuchnie wojna. W sierpniu wrócił do Warszawy po swoją żonę Tolę, ale niestety nie była ona w stanie podróżować z powodu zapalenia wyrostka robaczkowego i pozostała w Polsce. Józef już nigdy więcej jej nie zobaczył – zginęła w czasie wojny w niemieckim obozie zagłady w Bełżcu.

Atomowy wyścig. Jesienią 1939 r. Rotblat obwieścił Jamesowi Chadwickowi, że skonstruowanie bomby atomowej jest jego zdaniem możliwe i pozostaje w zasięgu możliwości hitlerowskich Niemiec. Uważał, że należy za wszelką cenę wyprzedzić III Rzeszę w tym atomowym wyścigu. Był zwolennikiem maksymy „*chcesz mieć pokój, gotuj się do wojny*”. Postanowił, że poświęci się temu, żeby aliansi pierwsi mieli do dyspozycji broń jądrową. Chciał, żeby wojna jak najszybciej się zakończyła.

Razem z brytyjskimi kolegami uczestniczył w dalszych pracach nad bronią jądrową, choć miał poważne wątpliwości co do tego, czy badania tego rodzaju były moralnie uzasadnione. Wiele lat później w wywiadzie udzielonym historykowi Martinowi Sherwinowi powiedział: *„Od samego początku obawiałem się nieustannie Niemców i dlatego pogodziłem się z myślą, że skonstruowanie jakiejś broni, która odstraszyłaby ich od prowadzenia dalszych badań, było konieczne. Nie byłem przekonany o tym, że powinienem w tym brać udział – był to pewnego rodzaju mentalny nowotwór, który mniej trawił”*.

W listopadzie Rotblat poprosił Chadwicka, aby zezwolił mu na prowadzenie badań zmierzających do skonstruowania bomby atomowej. Zgodę tę otrzymał, choć nie wiedział, że w tym samym czasie bardzo podobne badania prowadzili już Otto Frisch i Rudolf Peierls, dwaj niemieccy imigranci. W 1940 r. przekazali oni rządowi brytyjskiemu tajne memorandum, którego zasadniczym wnioskiem było to, iż z naukowego punktu widzenia skonstruowanie bomby atomowej było możliwe. Ponadto dokument ostrzegał przed potencjalnymi skutkami użycia tej broni, takimi jak opad radioaktywny i roznoszenie cząsteczek promieniotwórczych przez wiatr.

Naukowcy zakładali, że ze względu na potencjalne zagrożenie brytyjski rząd uzna prace nad bronią nuklearną za moralnie nieakceptowalne i zaprzestanie dalszych badań nad rozszczepieniem jąder atomowych. Osiągnęli jednak dokładnie odwrotny efekt. Brytyjski rząd był wówczas zaniepokojony zainteresowaniem Rzeszy tzw. ciężką wodą, niezwykle przydatną podczas przeprowadzania reakcji jądrowych. Dzięki memorandum zyskał zaś pewność, że skonstruowanie bomby, której energia opiera się na rozszczepianiu jąder atomowych, jest możliwe i jak katastrofalne są potencjalne skutki jej użycia.

Wkrótce potem powstał w Wielkiej Brytanii tzw. Komitet MAUD, którego zadaniem było jak najszybsze skonstruowanie prototypu bomby atomowej. Jednak Rotblat nie uczestniczył bezpośrednio w pracach Komitetu, gdyż nie miał obywatelstwa brytyjskiego i odmówił jego przyjęcia. Twierdził, że po zakończeniu wojny musi wrócić do Polski, by odnaleźć swoją rodzinę, a także pomóc w odbudowie polskiej nauki.

Projekt Manhattan. Na początku 1943 r. wywiad aliancki zaczął donosić z Europy o tym, iż Niemcy były coraz bliżej zbudowania „*superbomby*”, czyli nowego rodzaju broni masowego rażenia. W związku z tym Stany Zjednoczone wraz z Wielką Brytanią podjęły wspólny program budowy bomby atomowej. Premier Winston Churchill podpisał z USA tzw. Porozumienie z Quebec, które określało dość ściśle zasady amerykańsko-brytyjskiej kooperacji. Przewidywało ono między innymi przeniesienie grupy naukowców pracujących w Wielkiej Brytanii do Stanów Zjednoczonych, a wymóg był taki, że wszyscy oni musieli posiadać brytyjskie obywatelstwo. Wykluczało to Rotblata, który początkowo nie pojechał do Ameryki. Jednak po dwóch tygodniach Chadwick wytargował u amerykańskiego generała Leslie Grovesa, administratora badań, pozwolenie na zrobienie wyjątku w przypadku polskiego naukowca.

W ten sposób powstał projekt Manhattan, który wchłonął brytyjski Komitet MAUD i w ramach którego zbudowane zostało tajne laboratorium w Los Alamos. A wszystko to było możliwe dlatego, iż 3 lata wcześniej z Kongo do USA przywieziono 1250 ton

wzbożonej rudy uranu, czyli kluczowego surowca. Po przybyciu do Los Alamos Rotblat zamieszkał z Chadwickiem i wraz z innym naukowcem, Robertem Bacherem, zajmował się badaniami nad skutkami silnego promieniownia gamma. Następnie został przeniesiony do pracy z cyklotronem, czyli akceleratore cząstek elementarnych. Tam przypadkowo dostał dawkę 150 radów promieniowania, przez co kilka dni chorował.

Przez cały ten czas fizykiem z Polski tragały różne wątpliwości dotyczące moralnych aspektów budowy broni atomowej. Kontynuował jednak swoją pracę aż do roku 1944, kiedy doszło do trzech istotnych dla niego wydarzeń.

Najtrudniejsza decyzja. Pierwszym z tych wydarzeń było to, że pewnego dnia w czasie obiadu z innymi naukowcami generał Groves stwierdził, iż prawdziwym celem zbudowaniem bomby atomowej było powstrzymanie zagrożenia komunistycznego ze strony ZSRR. Dla Rotblata był to szok, gdyż słowa generała w jego mniemaniu stanowiły zdradę wojennego sojusznika. Po drugie, w czasie jego dyskusji z duńskim fizykiem Nielsem Bohrem pojawiła się sugestia, że powstanie broni atomowej prowadzić będzie nieuchronnie do niebezpiecznego wyścigu zbrojeń. Po trzecie zaś, w połowie 1944 r. okazało się, że Niemcy porzucili swoje badania nuklearne, gdyż nie pozwalała na to szybko pogarszająca się sytuacja w ich kraju.

W związku z tym Rotblat pod koniec 1944 roku poprosił o wydanie zezwolenia na opuszczenie Projektu Manhattan i powrót do Anglii. Zezwolenie to otrzymał, ale niemal natychmiast pojawiły się plotki o jego domniemanej działalności szpiegowskiej na rzecz Kremla. W czasie rejsu statkiem z USA do Wielkiej Brytanii przepadł bez wieści jeden z jego kufrów, zawierający notatki naukowe. Niemal pewne jest, że bagaż został przechwycony na wszelki wypadek przez Amerykanów, którzy obawiali się, że materiały te dostaną się w sowieckie ręce.

Po przybyciu do Anglii Rotblat został zatrudniony do odbudowy cyklotronów w Liverpoolu i Cambridge. Niestety w marcu 1945 r. dostał list od swojego szwagra, Mieczysława, z którego dowiedział się, że w obozie koncentracyjnym zginęła zarówno Tola, jak i jej matka. Wieść ta spowodowała, że Józef ostatecznie przyjął brytyjskie obywatelstwo, ponieważ spekulował, że jako Brytyjczyk będzie mógł skuteczniej działać na rzecz sprowadzenia reszty rodziny do Wielkiej Brytanii. Istniały obawy, że jego bliscy mogą zostać wykorzystani do szantażowania fizyka i nakłonienia go do pomocy w skonstruowaniu bomby atomowej dla Sowieców. Ponadto jego rodzina, po tragicznych doświadczeniach Holokaustu, chciała wyjechać z Polski.

Powojenny szok. Zrzucenie bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki było dla Rotblata wydarzeniem szokującym. Przez wiele następnych lat nie potrafił o nim zapomnieć, tym bardziej, że czuł się częściowo odpowiedzialny za śmierć tysięcy ludzi. W 1957 roku wraz z filozofem i matematykiem Bertrendem Russelem był inicjatorem konferencji w kanadyjskiej miejscowości Pugwash, która zapoczątkowała ruch na rzecz ograniczenia rozwoju broni jądrowej. Działał w tym ruchu praktycznie do końca życia.

Jednakże czasami ruch ten krytykowano za to, że podchodził do wielu spraw wybiórczo i niesymetrycznie, zwłaszcza wobec strony sowieckiej, przymykając oko na łamanie przez nią praw człowieka. Tak stało się np. ze zlekceważeniem listu rosyjskiego studenta Andrieja Sacharowa, jednego z konstruktorów radzieckiej bomby wodorowej, informującego Pugwash o losie dysydentów w ZSRR. W 1982 konferencja ruchu odbyła się w Warszawie, gdzie jej uczestnicy niemal nie dostrzegli trwającego wówczas stanu wojennego.

Mimo to trzeba przyznać, że Rotblat dążył do zbliżenia naukowców z obu bloków politycznych. Postulował na przykład, by ludzie nauki przyjęli sposób postępowania na wzór lekarskiej przysięgi Hipokratesa. Miało to oznaczać, że będą powstrzymywali zaspokajanie własnej ciekawości naukowej i sami ograniczali się w badaniach, jeśli ich wyniki mogłyby okazać się zgubne dla świata.

W tymże roku 1957 Rotblat przyjechał po raz pierwszy od zakończenia wojny do Polski. Zobaczył ruiny w dzielnicy Muranów, na terenie dawnego getta żydowskiego. Zdał sobie natychmiast sprawę z tego, że nie miał do czego wracać. System komunistyczny był dla niego zupełnie nie do przyjęcia, a wolność prowadzenia niezależnych badań naukowych praktycznie przestała istnieć.

W roku 1995 Józef Rotblat dostał wraz z ruchem Pugwash Pokojową Nagrodę Nobla za „wysiłki na rzecz zmniejszenia roli odgrywanej przez broń jądrową w polityce międzynarodowej i, w dłuższej perspektywie, do wyeliminowania takiej broni”. Na życzenie laureata ceremonię wręczenia nagrody uświetnił *Polonez As-dur* op. 53 Fryderyka Chopina. Jednak w Polsce o wyróżnieniu tym media wspominały dość zdawkowo, a dziś jego nazwisko jest w jego dawnej ojczyźnie mało znane.

Pewnych honorów w Polsce Rotblat mimo wszystko się doczekał. W 1987 r. odznaczony został Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi. W wyniku postanowienia prezydenta RP z 28 sierpnia 1998 r., za wybitne zasługi dla nauki polskiej, odznaczono go również Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. W 2018 r. rada miasta Warszawy nadała jego imię skwerowi znajdującemu się przy skrzyżowaniu ulic Nowolipki i Smoczej. Ponadto Polska Akademia Nauk przyznała mu w roku 1996 Medal im. Kopernika.

W czasie swojej przemowy po wręczeniu mu nagrody fizyk powiedział: *Mam wrażenie, że udało nam się dzięki działalności ruchu Pugwash zakończyć wyścig atomowy, który trwał przez 40 lat. Zadanie nie jest skończone, ponieważ dopóki broń jądrowa istnieje w arsenalach kilku państw, jest pozbycie się broni jądrowej.*

Rotblat zmarł w 2005 r. i został pochowany w Wielkiej Brytanii. Po zrezygnowaniu z uczestnictwa w Projekcie Manhattan podkreślał nieustannie, że każdy naukowiec musi ponosić osobistą odpowiedzialność za wszystkie skutki prowadzonych przez siebie badań. Zwykł mówić: *Ponad wszystko musicie zawsze pamiętać o swoim humanitaryzmie.*

Andrzej Heyduk

Czas trudnej próby.

Wspomnienia z lat 1980–1989

Ciąg dalszy z Nr 4(103) 2021

III. Początek stanu wojennego

1. 13 grudnia 1981, niedziela

Ranikiem tego dnia byłem z moją żoną Grażyną na mszy w zabytkowym kościele Świętej Trójcy w Kobyłce. Odprawiał ją proboszcz ks. Kazimierz Konowrocki. W toku swego kazania napomknął ogólnie, że dla osoby wierzącej zawsze jest jakiś stan wojenny. Potraktowałem te słowa jako kaznodziejską przenośnię. Wróciliśmy do domu bocznymi ulicami i z nikim nie rozmawialiśmy po drodze⁵.

Tuż przed 10,00 zacząłem jeść śniadanie i włączyłem radio. Spodziewałem się, że za chwilę rozpocznie się moja ulubiona audycja satyryczna Jacka Federowicza „60 minut na godzinę”. Zamiast niej usłyszałem komunikat o wprowadzeniu stanu wojennego w całej Polsce, a następnie przemówienie gen. Wojciecha Jaruzelskiego.

Oślupiałem. Poczułem się zdruzgotany psychicznie. Nie skończyłem śniadanie. Po chwili rozległo się mocne pukanie do drzwi. Otworzyłem. Do mieszkania wkroczyło dwóch mężczyzn. Jeden z nich okazał mi plakietkę służbową resortu bezpieczeństwa. Oświadczył, że chcieliby ze mną porozmawiać na Komisariacie Milicji Obywatelskiej w Kobyłce.

Zrozumiałem, że jest to aresztowanie. Zamierzałem pożegnać się z Żoną i zabrać ze sobą niezbędne przybory toaletowe. Wspomniany funkcjonariusz powiedział, iż jest do zbyt bezwartościowe. Idzie przeciw tylko o krótką rozmowę i za kilkadziesiąt minut wróć do domu.

Zszedłem z nimi na dół. Przed blokiem czekał kierowca w samochodzie. Wyruszyliśmy do Komisariatu MO w Kobyłce. Wprowadzono mnie do jakiegoś pustego pokoju, gdzie można było usiąść.

Rozpoczęła się rozmowa. Prowadzący ją funkcjonariusz przedstawił się jako porucznik Służby Bezpieczeństwa Cedrowski. Po latach okazało się, że było to tak zwane nazwisko operacyjne. Nazywał się on Ireneusz Ciborowski.

Byłem nadal oszołomiony, wręcz roztrzęsiony, być może bliski jakiejś psychicznej kapitulacji. Dostrzegł to bez trudu mój rozmówca. Dał mi na wstępie do przeczytania plakat, zawierający komunikat o wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce.

Popęnił w tym momencie błąd. Zasłoniłem się plakatem. Przeczytałem kilka zdań i przerwałem lekturę. Mimo zdenerwowania opanowałem się wewnętrznie. Pomyślałem

⁵ Wszystkie wydarzenia przedstawione w tym rozdziale odtwarzam częściowo z pamięci, jak również na podstawie związanych notatek, sporządzonych później w okresie internowania.

wówczas: „Jeśli wszystko stracone, to pozostał jeszcze mój honor, z którego tak łatwo nie zrezygnuję”. To stwierdzenie może obecnie wydać się wielu osobom staroświeckie, patetyczne, ale tak naprawdę było.

Porucznik Cedrowski/Ciborowski rozpoczął swój wywód. Stwierdził, że Służba Bezpieczeństwa zebrała o mnie wiele informacji. Byłem przecież od grudnia poprzedniego roku przewodniczącym Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” w Bibliotece Narodowej, a wcześniej pełniłem funkcję wiceprzewodniczącego Zarządu Tymczasowego. Analizowano m.in. udział naszej organizacji bibliotecznej w różnych ogólnopolskich akcjach protestacyjnych, w tym moją osobistą postawę. Na podstawie zebranego materiału Służba Bezpieczeństwa zaliczyła mnie do rozsądnych, umiarkowanych działaczy związku. Dzięki temu nie zostałem tej nocy internowany. Spotkało to wielu radykalnych aktywistów, uznanych za niebezpiecznych dla państwa, dla porządku publicznego, jaki ustanowiono w wyniku wprowadzenia stanu wojennego. Rozmówca poinformował mnie przy okazji, że oddziały milicji zajęły już siedzibę Zarządu Regionu „Mazowsze”.

Funkcjonariusz zadał mi następnie pytanie, jak zachowam się w obecnej sytuacji jako przewodniczący Komisji Zakładowej i Komitetu Strajkowego. Odpowiedziałem, że na pewno nie wyprowadzę członków „Solidarności” z Biblioteki Narodowej na ulicę, by wzięli udział w ewentualnych starciach. Było to przecież zgodne z naszą koncepcją akcji protestacyjnej, przyjętą jeszcze w marcu 1981. Postanowiliśmy wówczas, iż w przypadku stanu wyjątkowego należy przerwać większość normalnych prac zawodowych, zamknąć budynki biblioteczne, nie wpuszczać nikogo obcego, pełnić na zmianę dyżury przez całą dobę, wywiesić na dachu biało-czerwoną flagę na znak naszego udziału w ogólnopolskiej akcji związku. Zakładaliśmy też możliwość współpracy z Dyrekcją BN. W toku mojej dalszej wypowiedzi stwierdziłem jednak, iż w moim przekonaniu „Solidarność” nadal istnieje mimo wprowadzenia stanu wojennego, a ja wciąż jestem przewodniczącym Komisji Zakładowej. Dalszy bieg wydarzeń w Polsce jest trudny do przewidzenia. Byłem zawsze zwolennikiem zachowania przez związek umiaru w wysuwaniu różnych żądań, teraz jednak znalezienie kompromisu będzie bardzo trudne.

Porucznik Cedrowski podsunął mi wówczas do podpisania wydrukowaną już wcześniej deklarację, iż wyrzekam się działalności antypaństwowej i podporządkuję się wszelkim wymogom stanu wojennego. Zdecydowanie odmówiłem. Stwierdziłem przy tym, że moja aktywność związkowa była legalna i jawna. Zobowiązanie się do przerwania przeze mnie działalności antypaństwowej byłoby zatem czymś nielogicznym, niezgodnym z moim dotychczasowym postępowaniem.

Rozmówca zaproponował mi wówczas, że może wykreślić z tekstu stwierdzenie o przerwaniu działalności antypaństwowej. Oświadczyłem, że nawet tak poprawionego tekstu również nie podpiszę. Przyjęcie jakichkolwiek zobowiązań pisemnych wobec Służby Bezpieczeństwa byłoby równoznaczne z utratą przeze mnie wiarygodności w opinii ludzi, którzy rok wcześniej mi zaufali i w toku wyborów do stałych władz związku powierzyli mi stanowisko przewodniczącego Komisji Zakładowej.

Funkcjonariusz zapowiedział, że w wyniku tej odmowy zostaną prawdopodobnie internowani. Wyjaśniłem spokojnie, że przed rokiem, gdy zostałem przewodniczącym, liczyłem się z możliwością represji. Chciałbym jednak teraz udać się z funkcjonariuszami na krótko do mojego mieszkania, by pożegnać się z Żoną i zabrać niezbędne przy-

bory toaletowe. Porucznik Cedrowski obiecał wówczas, iż w razie potrzeby pojedzie tam jego kolega. Powiadomi Żonę o moim internowaniu oraz przywiezie mi wspomniane przedmioty.

Na razie wyszedł do sąsiedniego pomieszczenia, by porozumieć się ze swoimi przełożonymi.

Długo siedziałem w milczeniu z drugim funkcjonariuszem. Trwało to zapewne ponad godzinę. Po jakimś czasie por. Cedrowski powrócił i wyjaśnił, że jego przełożeni mogą uczynić dla mnie wyjątek. Wystarczy im moja ustna obietnica, że nie dojdzie w Bibliotece Narodowej do żadnej akcji protestacyjnej.

Powtórzyłem moją poprzednią deklarację. Naszym nadrzędnym celem jest bezpieczeństwo ludzi i zbiorów. Dlatego nie będę namawiał członków związku do udziału w ewentualnych starciach ulicznych. Nie mogę jednak udzielić jakiegokolwiek gwarancji, że nie dojdzie do żadnej manifestacji wewnątrz naszej instytucji.

Por. Cedrowski chyba ponownie porozumiewał się w sąsiednim pokoju telefonicznie lub radiowo ze swoim dowództwem. Po powrocie powiedział, iż decyzją jego przełożonych mogę warunkowo wrócić do domu. Jestem jednak odpowiedzialny za dalsze zachowanie się członków „Solidarności” w Bibliotece Narodowej, a wszelkie naruszenie dekretu o stanie wojennym skończy się dla mnie aresztowaniem.

Zezwolono mi na powrót do domu. Por. Cedrowski pożegnał mnie słowami: „Osiągnął Pan w tej rozmowie więcej ode mnie”.

Dowlokłem się na „miękkich nogach” do położonego w pobliżu naszego spółdzielczego osiedla. Żona przyjęła mnie z ulgą. Po powrocie zebrałem wszystkie moje notatki robocze, jakie sporządziłem w toku działalności związkowej. Były wśród nich zwięzłe dyspozycje, dotyczące naszego udziału w ewentualnej ogólnopolskiej akcji protestacyjnej. Wspomniane dokumenty wyniosłem do łazienki, wszystkie po kolei spaliłem, popiół i jakieś skrawki wrzuciłem do muszli klozetowej i spuściłem wodę. Łazienka była pełna dymu, który częściowo zapewne przedostał się do mieszkań sąsiadów w tym samym pionie wentylacyjnym. Siedzieli jednak cicho, nie protestowali. Ocalały zarazem niektóre moje notatki, znajdujące się wówczas w Bibliotece Narodowej. Ukryła je zaufana osoba.

Po chwili wytchnienia i spożyciu posiłku wystukałem na maszynie krótkie, jednostronicowe oświadczenie, adresowane do członków naszej bibliotecznej organizacji. Opisałem w nim moją dotychczasową konfrontację ze Służbą Bezpieczeństwa. Stwierdziłem na zakończenie, że mimo stanu wojennego „Solidarność” nadal istnieje, a ja jestem gotów pełnić moją funkcję przewodniczącego Komisji Zakładowej.

Wspólnie z Żoną podjąłem decyzję, by następnego dnia rano usunąć naszego mieszkania pozycje „drugiego obiegu” (nie mieliśmy ich dużo). Nadszedł wieczór. Udałem się na spoczynek w jakże innym nastroju niż poprzedniego dnia.

2. 14 grudnia 1981, poniedziałek

Wczesnym rankiem wyruszyłem z Grażynką pociągiem podmiejskim do Warszawy. Wśród pasażerów panowała atmosfera zastraszenia. Niektórzy z nich tylko szeptem wymieniali jakieś uwagi.

Wysiedliśmy na Dworcu Wileńskim. Rozstaliśmy się w pewnym pośpiechu. Żona została na Pradze, by powierzyć swej przyjaciółce, Hani Osiaćło, nasze publikacje „drugiego obiegu”. Zaczynała nieco później prowadzenie zajęć ze swymi uczennicami w Technikum Odzieżowym na Mokotowie.

Udałem się do głównej siedziby Biblioteki Narodowej na ul. Hankiewicza. Miałem w torbie różne niezbędne przedmioty, w tym ręcznik, mydło, kubek, pastę i szczoteczkę do zębów. Dotarłem do ksiąźnicy około 8,00 rano. Nad budynkiem magazynowym powiewała biało-czerwona flaga. Rozpoczęła się już akcja protestacyjna.

Wszedłem do pierwszego budynku, tak zwanego „Okrągłaka”. Przy wejściu pełnili wartę koledzy z biało-czerwonymi opaskami na rękawach. Akcję protestacyjną organizowała już w nocy z 13 na 14 grudnia 1981 Stefania Skwirowska – wiceprzewodnicząca Komisji Zakładowej. Uczestniczyły w rozpoczęciu akcji inne osoby, m.in. Roman Meyer i Urszula Masłowska.

Wyjąłem kartkę i przeczytałem kilku osobom zgromadzonym przy wejściu moje oświadczenie, napisane na maszynie poprzedniego dnia w Kobylce. Po chwili zawieszono ten tekst na tablicy ogłoszeń naszego związku. Nie wiem, co z tym dokumentem później się stało.

Zgodnie z naszymi wcześniejszymi ustaleniami przejąłem kierownictwo Komitetu Strajkowego. W tym czasie, między 8,00 a 9,00 rano, przybywali inni pracownicy, w tym Andrzej Urbański.

Udałem się wraz z dwoma innymi działaczami do Witolda Stankiewicza, dyrektora naczelnego Biblioteki Narodowej. Był sam w swoim gabinecie. Uprowadziłem go o rozpoczęciu przez nas akcji protestacyjnej. Nie zajął wyraźnego stanowiska wobec tej informacji. Zauważył tylko, że zostaliśmy już przez władze praktycznie zdelegalizowani. Wyszliśmy z gabinetu. W tym czasie A. Urbański i inni koledzy przejęli od portierów część kluczy – prawdopodobnie do głównych drzwi wejściowych i niektórych pomieszczeń.

Między 9,00 a 10,00 zwołałem krótkie zebranie członków „Solidarności” na parterze i schodach naprzeciw głównego wejścia do „Okrągłaka”. Oznajmiłem zebranym, iż mimo stanu wojennego „Solidarność” nadal istnieje, a ja dalej pełnię funkcję przewodniczącego Komisji Zakładowej i Komitetu Strajkowego związku. Wyraziłem też nadzieję, że w przypadku aresztowania mnie i pozostałych osób z Komitetu Strajkowego członkowie związku wyłonią nowe kierownictwo organizacji.

Po chwili podjęliśmy dalsze działania. Wraz z innymi osobami z Komitetu Strajkowego zaczęliśmy zapisywać ochotników na dyżury całodobowe w głównej siedzibie instytucji (3 zespoły po 8 godzin). W tych zabiegach organizacyjnych byli bardzo pomocni pracownicy Zakładu Wysyłkowego Danuty Korolko, np. Jerzy Hornung i Zbigniew Kolek. Zakład mieścił się przy głównym wejściu do „Okrągłaka”. Ktoś przyrządał w nim dla dyżurnych kawę i herbatę.

Około 10,00 pewna osoba, ciesząca się znacznym autorytetem wśród pracowników BN, namawiała mnie, by szybko zwinąć całą akcję, póki wyraźnie nie została ona dostrzeżona z zewnątrz, a Dyrektor Naczelny przyjął postawę wyczekującą. Podobno jesteśmy odosobnionym, jedynym ośrodkiem oporu na całej Ochocie. Próby zorganizowania zbiorowego protestu w innych instytucjach zostały w zarodku stłamszone.

Mimo mego szacunku dla tej osoby, nie przyjąłem jej rady. Oznajmiłem, że rozpoczęta przez nas akcja powinna trwać dalej. Dobięła też do BN wiadomość, że prawdopodobnie rozpoczął się strajk w fabryce traktorów w Ursusie.

Około 10,30 (trudno to precyzyjnie określić) pojawiło się przed wejściem głównym do „Okrągłaka” kilku milicjantów. Nie wpuściliśmy ich do budynku. Drzwi wejściowe były przez nas zamknięte, stali przy nich od wewnątrz nasi dyżurni. Milicjanci nie próbowali tych drzwi sforsować.

Między 11,00 a 11,30 wkroczył do budynku magazynowego oddział ZOMO. Boczne wejście do tego gmachu otworzył milicjantom jakiś pracownik działu administracji. Ludzie na tę wieść szybko się rozpiechli, pozostało ze mną na schodach przy głównym wejściu kilkanaście osób. Oddałem wówczas moją obrączkę ślubną zaufanej osobie z prośbą o przechowanie lub oddanie mojej Żonie.

W kilkadziesiąt sekund później ogarnęli nas zomowcy. Wyprowadzili z budynku mnie, Andrzeja Urbańskiego, Stefanię Skwirowską, Janusza Jęczmyka, Wojciecha Tomaszewskiego, prawdopodobnie Urszulę Masłowską oraz inne osoby (wszystkich nazwisk nie pamiętam). Było nas jedenaścioro. Otoczony milicjantami, kroczyłem pod rękę z Andrzejem Urbańskim przez dziedziniec wewnętrzny „Okrągłaka”. Widziałem w jego oknach uniesione w pożegnalnym geście ręce niektórych naszych pracowników. Wprowadzono nas do karetki więziennej oczekującej przed gmachem. Przewieziono nas do Komendy Dzielnicowej MO na ul. Opaczewskiej.

Po dłuższym oczekiwaniu rozprowadzono nas po różnych pokojach. Próbował mnie przesłuchiwać jakiś funkcjonariusz w cywilnym ubraniu. Na zadawane pytania odpowiedziałem krótko, że jestem przewodniczącym Komisji Zakładowej i Komitetu Strajkowego. Jestem zatem odpowiedzialny za dzisiejszy bieg zdarzeń w bibliotece. Funkcjonariusz starał się uzyskać ode mnie inne wyjaśnienia, ale odpowiadałem ogólnie, wręcz zdawkowo. Jakoś nie znaleźliśmy wspólnego tematu do dalszej konwersacji.

Wtedy przyniesiono z sąsiedniego pokoju przygotowaną już deklarację o wyjątkowo plugawej treści. Zawierała potępienie własnej dotychczasowej działalności związkowej i zobowiązanie do całkowitego podporządkowania się władzom stanu wojennego. Zdecydowanie odmówiłem podpisu. Po chwili zaczęto mi podsuwać deklaracje o treści nieco mniej plugawej. Również odmówiłem podpisu. Padła wtedy propozycja, bym sam zredagował i podpisał jakiś tekst, spełniający oczekiwania władz. Odrzuciłem ją również. Panowałem już nad sobą, nie czułem tego oszołomienia i zdenerwowania, jak poprzedniego dnia na Komisariacie MO w Kobyłce. Sytuacja była dla mnie oczywista. Skoro przed rokiem ludzie mi zaufali, powierzając mi stanowisko przewodniczącego Komisji Zakładowej, nie mogę teraz ustąpić. Podpisanie przeze mnie jakiegokolwiek deklaracji byłoby dla moich wyborców przejawem całkowitej kapitulacji, rezygnacji z wszelkiego oporu, jeszcze jednym potwierdzeniem zwycięstwa narzuconej nam przemocy.

Muszę zarazem przyznać, iż funkcjonariusze MO czy SB zachowywali się wobec mnie grzecznie. Podsuwali mi do podpisu kolejne teksty, a ja im równie grzecznie odmawiałem.

Usiłujący mnie przesłuchiwać rozmówca oznajmił, że zostanę internowany. Nie było to dla mnie zaskoczeniem. Już wcześniej zdołałem przygotować się psychicznie na tę ewentualność. W tym czasie inne osoby, przywiezione na komendę wraz ze mną, zostały zwolnione i powróciły do biblioteki.

Wkrótce sprowadzono mnie do aresztu w piwnicy komendy, na tak zwany „dołek”. Tam mnie zrewidowano, zabrano mi do depozytu pasek do spodni, okulary, jakieś inne przedmioty (dokładnie nie pamiętam). Wprowadzono mnie do celi. Panował w niej półmrok. Znajdowali się w niej działacze związkowi z różnych instytucji na Ochocie. Przyjęli mnie zyczliwie. Tymczasowi mieszkańcy celi dzielili się uwagami na temat przebiegu ostatnich zdarzeń, okoliczności ich zatrzymania.

Pomiędzy 18,00 a 19,00 wywołano mnie z celi, by mi okazać pisemną decyzję o internowaniu. Jakiś strażnik wykrzykiwał za mną na korytarzu, że czeka mnie wyrok 15 lat więzienia za naruszenie dekretu o stanie wojennym.

Po chwili zaczęto wywoływać ludzi z cel na więzienną kolację (dwie kromki chleba ze smalcem i kubek kawy zbożowej). Można było skorzystać też z toalety (wcześniej trzeba było stukać w drzwi i prosić strażników o indywidualne wyprowadzenie). Następnie wprowadzono mnie ponownie do celi.

Może to wydać się niewiarygodne, ale poczułem w tym momencie ulgę. Wcześniej czułem się odpowiedzialny za „Solidarność” w BN, za przebieg zdarzeń, za los innych działaczy. Teraz byłem już odpowiedzialny tylko za siebie i jakiś ciężar spadł mi z serca. Większą część mrocznej celi wypełniał drewniany podest, na którym leżeli lub siedzieli współmieszkańcy. Znalazło się tam dla mnie jakieś miejsce. Zdjąłem buty, włożyłem sobie zimową czapkę pod głowę, przykryłem się płaszczem i szybko zasnąłem.

3. 15 grudnia, wtorek

Ten smaczny sen na desce przerwali mi o 3,00 nad ranem strażnicy. Przenieśli mnie do innej celi. Była bardzo zatłoczona, ktoś spał na podłodze. Usiadłem na skrawku jakiejś ławki. Tak dotrwałem do rana, zapadając od czasu do czasu w drzemkę.

Około 6,00 nastąpiła więzienna pobudka. Można było skorzystać z toalety, umywalni, spożyć skromne śniadanie. Potem wróciliśmy do cel. W więzieniu trwał ruch. Pewne osoby zwalniano, wprowadzano jednocześnie nowych zatrzymanych.

Długie oczekiwanie trwało mniej więcej do 11,00. Wówczas wywołano mnie z celi, oddano mi rzeczy z depozytu, a po chwili założono mi kajdanki. Wyprowadzono mnie w tych kajdankach do dużego samochodu stojącego na ulicy. Tam mnie rozkuto, wszedłem do pojazdu i usiadłem na ławeczce. Po chwili wprowadzono do tego pojazdu młodą prostytutkę i jej dwóch znajomych, a następnie zapełnili jego wnętrze kolejni działacze związkowi. Zamknięto budę więzienną, samochód ruszył. Znajdująca się wśród nas prostytutka zaczęła się przechwalać swymi przeżyciami z kolorowymi klientami. Jej znajomi śmiali się i cmokali z zachwytu. Siedziałem przytłoczony biegiem nowych zdarzeń. Wtedy siedzący obok mnie Tadeusz Szozda, działacz „Solidarności” z instytucji Kolprojekt, zaczął mi szeptać na ucho, że nie wszystko stracone, że trwają strajki w niektórych kopalniach na Górnym Śląsku. Było to dla mnie ważne. Gnębiła mnie dotąd myśl, że nasz związek poniósł klęskę w ciągu jednej nocy, że jego władze tak łatwo dały się zaskoczyć. Wiadomość o trwającym jednak oporze bardzo mnie pokrzepiła. prostytutka w tym czasie chyba coś jeszcze nadawała, ale przestało to do mnie docierać.

Dojechaliliśmy do Komendy Dzielnicowej MO w Śródmieściu na ulicy Wilczej. Wprowadzono nas do jakiejś dużej sali. Panował w niej ruch, wyraźnie sortowano przy-

wiezione osoby. Co pewien czas milicjanci wywoływali zatrzymanych działaczy. Po jakimś czasie wyprowadzili mnie wraz z kilkoma innymi kolegami do karetki więziennej, stojącej na dziedzińcu (do tak zwanej „milicyjnej suki”). Były w niej dwie oddzielne kabiny przeznaczone dla aresztantów. Wprowadzono nas do jednej z nich, nie wiem, kto znalazł się w sąsiednim pomieszczeniu. Wyruszyliśmy w drogę. Okienko było przysłonięte, ale można było zorientować się, że przejechaliśmy most na Wiśle i zmierzamy w kierunku Białoleki.

Przejazd trwał kilkadziesiąt minut. Dotarliśmy na miejsce. Wprowadzono nas do jakiegoś budynku. Tam strażnicy spisywali nasze dane osobowe i zaopatrzyli nas w niezbędne przedmioty więzienne, jak miska, kubek, łyżka. Następnie przeszliśmy przez jeden z dziedzińców wewnętrznych pomiędzy strażnikami ustawionymi w dwóch rzędach. Trafiłem do pawilonu parterowego nr IV, przydzielono mnie do celi nr 1. Dotychczasowi „pensjonariusze” przywitani mnie serdecznie. Opowiedziałem im krótko o sobie, o okolicznościach mego zatrzymania.

Byłem głodny i spragniony, od wczesnego ranka nic nie jadłem, a zbliżał się wieczór. Koledzy wspomogli mnie swymi skromnymi wiktuałami. Żelazne łóżka w celi były ustawione pod dwoma ścianami i w trzech kondygnacjach (parter i dwa piętra). Okazało się, że jest jeszcze jedno wolne miejsce na górze, a więc prawie pod samym sufitem. Wspiąłem się tam w miarę wprawnie. Znalazłem tu nawet coś w rodzaju pościeli. Rozciągnąłem się na tym łożu. Odpoczynek był tu jednak bardziej wygodny niż poprzednio na desce. Obawiałem się tylko, iż w przypadku niespokojnego snu wyrnę głową w sufit, który znajdował się tuż nade mną. Przebudzenie nie byłoby wtedy zbyt przyjemne. Mimo tych obaw zapadłem wkrótce w głęboki sen.

IV. Internowanie

1. Więzienie w Białolece

Moje nowe miejsce pobytu nosiło oficjalną nazwę: Areszt Śledczy, ul. Ciupagi 1, Warszawa-Białoleka. Więzienie znajduje się w odległości około 20 km od centrum Stolicy.

Jak już wspomniałem, trafiłem do parterowego pawilonu nr IV, do celi nr 1. Nasza cela miała 18 metrów kwadratowych. Znajdowało się w niej 12 metalowych łóżek, ustawionych w 3 kondygnacjach, od podłogi do sufitu, a także niewielki stół, kilka stołków, chyba dwie szafki, sedes za zasłoną i umywalka z zimną wodą, a pod sufitem lampa i głośnik radiowy.

Zawarłem znajomość z dotychczasowymi mieszkańcami celi. Byli to (w kolejności alfabetycznej): Maciej Cisło, poeta, członek Koła Młodych Związku Literatów Polskich, działający do niedawna w redakcji tygodnika „Solidarność”; Tadeusz Kaim, pracownik WSK, przewodniczący Komisji Zakładowej „Solidarność”; Piotr Koziarkiewicz, pracownik MPRO; Antoni Matusiak, pracownik RSW Prasa; Mirosław Włodzimierz Odorowski, pracownik ZWF im. Róży Luksemburg, w ciągu ostatnich 16 miesięcy sekretarz, a następnie skarbnik Zarządu Regionu „Mazowsze”; Włodzimierz Przybył, student Politechniki Warszawskiej, działacz NZS; Antoni Rosa, pracownik MPWiK; Ryszard

Rubinstein, pracownik Instytutu Matematyki PAN, aktywny w Agencji „Solidarności”, Wiktor Woroszyński, znany pisarz, członek ZLP i Pen-Clubu Polskiego, działacz opozycyjny. Następnego dnia trafili do naszej celi: Jerzy Dynier, pracownik FSO, działacz Zarządu Regionu „Mazowsze”; Janusz Głuszkiewicz, pracownik PRiTV. Byli zatem wśród nas robotnicy, rzemieślnicy, specjaliści w zawodach technicznych z wykształceniem średnim i wyższym, literaci, pracownicy naukowcy.

Trzeba było teraz wdrożyć się w więzienny porządek dnia. Rozpoczął się pobudką o 6, 30. Kilkanaście minut później więźniowie kryminalni podawali nam przez okienko (przez tak zwanego „judasza”) śniadanie. Około 7,30 sprzątaliśmy celę – utrzymanie porządku w tym niewielkim pomieszczeniu było przecież wskazane. Dalej był czas wolny, natomiast między 9,00 a 12,00 trwały spacery wokół trawnika przed pawilonem. Strażnicy wyprowadzali mieszkańców poszczególnych cel. Każda grupa przebywała na zewnątrz około 30–40 minut. Mimo zakazu przeznaczałem część tego czasu na lekki bieg wokół trawnika. Obiad zaczynał się o 13,00. Więźniowie kryminalni podjeżdżali wózkami pod drzwi kolejnych cel i wypełniali jego zawartością miski, jakie wcześniej wraz z łyżkami otrzymaliśmy od administracji więziennej. Po obiedzie był znów czas wolny. Czytałem wówczas książki wypożyczone z biblioteki więziennej. Niestety o 16,00 było już w celi mroczno, a słabe światło sztuczne nie sprzyjało lekturze. Późnym popołudniem wypełniały nam zatem czas różne rozmowy, czasem spory ideowe, rzadziej osobiste, a także opowieści o własnej przeszłości. Około 18,00 rozwożono nam kolację, a o 19,00 docierał do nas dziennik radiowy ze „szczekaczki” pod sufitem.

Jedzenie nie było zbyt wykwintne. Na śniadanie otrzymywaliśmy chleb z margaryną i kawę zbożową, na obiad coś w rodzaju zupy, a także ziemniaki lub gotowany groch, surówkę z niezbyt świeżej kapusty, kawałki gotowanego boczku lub jakiegoś tłustego mięsa ze skórą, na której występowały czasem jakieś włoski, na deser kawę zbożową, na kolację znów chleb z margaryną i pewnie również z jakąś marmoladą oraz wspomnianą kawę. Starałem się przekonać samego siebie, że powyższe „menu” ma wysokie wartości odżywcze, jednak niektórzy koledzy odczuwali poważne kłopoty żołądkowe spowodowane tym jadłospisem. Sytuacja poprawiła się, gdy zaczęły do nas docierać paczki od rodzin oraz różnych ośrodków kościelnych. Późnym wieczorem spożywaliśmy wtedy drugą kolację, dzieląc się solidarnie otrzymanymi produktami.

Dokuczał nam bardzo brak herbaty. Koledzy znaleźli jednak sposób jej zaparzania. Robili grzałki z przemyconych żyletek i drucików, wykręcali żarówkę pod sufitem, włączali grzałkę do przewodów elektrycznych. Całe urządzenie po włączeniu niesamowicie warczało, ale udawało się w krótkim czasie zaparzyć w napełnionych wodą kubkach otrzymaną w paczkach herbatę.

Na początku pobytu w Białoleścu odczuwałem przygnębienie. Napływały przez „szczekaczkę” wiadomości o stłumieniu kolejnych strajków i innych form protestu. Władze bezustannie ogłaszały swe rzekome całkowite zwycięstwo i aprobatę stanu wojennego przez większą część społeczeństwa. Ewentualne rzucanie w tym momencie butami w osłoniętą kratką „szczekaczkę” nie przyniosłoby oczekiwanych efektów. Głośniki włączała i wyłączała centralnie służba więzienna.

Dotarła też do nas przez głośnik wiadomość o tragicznych wydarzeniach w kopalni „Wujek”. Nazajutrz odmówiliśmy wspólnie w czasie spaceru modlitwę za Poległych.

Dnia 17. 12. 1981 rozpoczęła się jednak w Białoleńcu wielce krzepiąca akcja. Ukazał się pierwszy numer naszej rękopiśmiennej gazetki konspiracyjnej „AS” (Agencja „Solidarności”). Później zmieniono tytuł na „BAS”, następnie na „Koniem przez świat”⁶.

Dopiero wiele lat później dowiedziałem się, w jaki sposób powstawało nasze pismo podziemne. Krzysztof Śliwiński miał w swej celi miniaturowe radio. Codziennie wraz z kolegami prowadził nasłuch audycji Radia Wolna Europa. Uzyskane informacje odpowiednio redagowano i przepisywano na pojedynczych kartkach papieru (choćby wydartych z zeszytu). W ten sposób wytwarzano naszą pierwszą rękopiśmienną gazetkę. Sposób jej rozpowszechniania był niezawodny. Jak już wspomniałem, między 9,00 a 12,00 wyprawiano z celi kolejne grupy na spacer. Na korytarzu panowało wtedy lekkie zamieszanie, strażnicy nie byli w stanie skontrolować wszystkich wychodzących czy wracających. Drzwi w poszczególnych celach nie dochodziły dokładnie do podłogi. Między ich dolną krawędzią a podłogą pozostawała niewielka szpara. Wystarczyło zatem kilka sekund, by kartkę papieru, czyli egzemplarz rękopiśmiennej gazetki, przesunąć niepostrzeżenie z korytarza do celi. Wielokrotnie byłem świadkiem tej szybkiej i udanej operacji.

Służba Bezpieczeństwa prawdopodobnie zorientowała się, że w naszym pawilonie funkcjonuje jakieś konspiracyjne wydawnictwo. Strażnicy kilkakrotnie rewidowali nasze cele, wyprowadzali nas na korytarz i przeprowadzali rewizję osobistą. Nie wykryli jednak źródła niezależnych informacji. Nie sądziłem dotąd, iż w celi więziennej można ukryć tyle zakazanych przedmiotów.

Wydawanie i rozpowszechnianie tej gazetki podniosło nas na duchu. Stanowiło dobrą odpowiedź na nienawiść i kłamstwa, rozpowszechniane intensywnie przez media partyjno-rządowe.

Starałem się zaprzyjaźnić ze wszystkimi kolegami z naszej celi. Szczególnie często rozmawiałem z Wiktorem Woroszylskim, Mirkiem Odorowskim, Ryśkiem Rubinsteinem, Antkiem Rosą, Januszem Głuszkiewiczem, Jerzym Dynere. Zadałem kiedyś Woroszylskiemu dość głupie pytanie: kim byłby teraz Tadeusz Borowski, gdyby nie popełnił samobójstwa w lipcu 1951 r.? Borowski był mi bardzo bliski. Jego proza o tematyce obozowej była tematem mojej pracy magisterskiej, którą wraz z obroną uwięziłem moje studia polonistyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Chociaż pytanie było właściwie naiwne (z rodzaju: co by było, gdyby...), Wiktor potraktował je poważnie. Był przecież bliskim przyjacielem Zmarłego, autorem opracowania: *O Tadeuszu Borowskim i jego twórczości* (Warszawa 1955), współredaktorem jego *Utworów zebranych* (Warszawa 1964).

Jak dowodził Wiktor, Tadeusz Borowski podążałby tą samą drogą, jak wielu innych młodych twórców, którzy pod koniec lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych XX w. akceptowali przejściowo komunizm – i to w jego stalinowskiej postaci. Czynili to niekiedy żarliwie, jednak uczciwość i odwaga intelektualna Tadeusza, jego wrażliwość na niesprawiedliwość, na krzywdę ludzką, demaskowanie wszelkiego zakłamania doprowadziłyby go do takiego przełomu duchowego, jaki już w drugiej połowie lat pięćdziesiątych

⁶ Por. Wojciech Borowik, Marek Kossakowski, *Wolne słowo za kratami* [w:] *My, internowani... Białoleśka 1981–1982*. Warszawa 2011, s. 58–61; Jacek Czaputowicz, „Kipisz Codzienny” i serwis BAS, tamże, s. 62–63. Biuletyn „Kipisz Codzienny” wytwarzał Andrzej Czuma wraz z kolegami.

przeżył Wiktor. Tadeusz podjąłby zapewne poszukiwania ideowe, w wyniku których zaangażowałby się również w działalność opozycyjną. Prawdopodobnie byłby teraz razem z nami w Białoleńce – albo w naszej celi, albo w jakiejś sąsiedniej.

Mimo niezbyt sprzyjających warunków Wiktor nadal tworzył. Siadał przy niewielkim stole, jeśli było przy nim miejsce. Miał jakiś długopis i chyba zeszyt lub luźne kartki papieru. Pisał przede wszystkim wiersze. Były to zwięzłe, poetyckie migawki. Nie wprowadzał poetyckich metafor. Starał się podkreślić wymowę pewnych słów lub krótkich zdań, które w naszej ówczesnej sytuacji nabierały jakiegoś szczególnego znaczenia. Zwięzłe wiersze stanowiły niejednokrotnie zapis naszych niedawnych przeżyć zbiorowych. Szczególnie są mi bliskie dwa jego utwory powstałe zapewne w naszej celi.

Podsluchane

„Zdałeś ten łom
no zdałem
ja nie zdałem
trzeba było zdać
co będę zdawał i brał
zdawał i brał”⁷.

Drugi wiersz utrwał schemat, który kilkadziesiąt godzin wcześniej funkcjonariusze SB starali się wykorzystać również w czasie rozmowy ze mną.

Niech Pan to podpisze

„Pan mnie nie zna ale ja pana znam
Ja się panem interesuję
Jak pan nie chce tymi słowami to niech pan własnymi
Szkoda że pan tak jakoś
Jak pan nie to ja
Sam pan wybrał
To nie będzie nic przyjemnego”⁸.

Dnia 22. 12. 1981 wywołano z celi Wiktora Woroszyłskiego i Ryszarda Rubinsteina, by ich wywieźć do innego ośrodka odosobnienia. Skwapliwie przejąłem po Wiktorze łóżko na parterze, nie musiałem teraz wielokrotnie wspinać się w ciągu dnia, a także w nocy, aż pod sam sufit. Wkrótce na miejsce Wiktora i Ryśka strażnicy wprowadzili do celi nowych „pensjonariuszy” – majora Zdzisława Kledzika i porucznika Włodzimierza Jaworskiego. Obaj należeli do grupy odważnych działaczy, usiłujących założyć Związek Zawodowy Funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej. Zamierzali zabiegać o interesy zawodowe milicjantów, zdążali do uniezależnienia MO od wpływów SB. Głosili konsekwentnie, że milicja (właściwie policja) powinna służyć bezpieczeństwu całego społeczeństwa, a nie obronie interesów partii rządzącej.

⁷ Wiktor Woroszyłski, *Dziennik internowania (wiersze). Białoleńka – Jaworze, zima 1981–1982*. Kraków 1983, Oficyna Literacka, Biblioteka IBL PAN, maszynopis, s 25.

⁸ Tamże, s. 26. *Dziennik internowania* wraz z *Lustrem* ukazał się konspiracyjnie w Krakowie nakładem niezależnej Oficyny Literackiej (1983), a następnie łącznie z cyklem *Tutaj, 1983-1984* nakładem londyńskiego Aneksu (1984). To ostatnie wydanie zilustrował Jan Lebenstein. W 1988 r. krajowe wydawnictwo „Znak” opublikowało tom wierszy W. Woroszyłskiego *W poszukiwaniu utraconego ciepła*, zawierający również *Dziennik internowania* (s. 179–192).

Działacze ZZFMO, zatrzymani w pierwszych dniach stanu wojennego, byli traktowani początkowo brutalnie. Trzymano ich w celach wraz z kryminalistami, w czasie wielogodzinnych przesłuchań grożono im karą śmierci za naruszenie podstaw istniejącego systemu, zwłaszcza dyscypliny obowiązującej w resorcie bezpieczeństwa. Po kilku dniach przeniesiono ich jednak do naszego pawilonu. Nie przewidywałem nigdy, że znajdę się w jednej celi więziennej z majorem i porucznikiem milicji i że razem z nimi będę obchodzić Święta Bożego Narodzenia.

Było nas teraz w celi jedenastu na osiemnaście metrów kwadratowych. Jednoczesne poruszanie się po tym lokalu było bardzo trudne. Niektórzy koledzy spędzali większą część dnia siedząc lub leżąc na swych łózkach.

Dnia 17. 12. udało mi się przekazać krótki list do Żony za pośrednictwem kolegi, którego miano zwolnić z więzienia. Kilka dni później (22. 12.) dotarła do mnie paczka od Grażyny, zawierająca produkty żywnościowe (przede wszystkim konserwy) i opłatki.

Przygotowywaliśmy się do Świąt. Dochodziły w tym czasie z celi Macieja Zembatego odgłosy prób jakiegoś zbiorowego śpiewu. Rankiem 24 grudnia posprzątaaliśmy w miarę możliwości celę, udało nam się zdobyć jakąś imitację choinki i przykryć stół czymś przypominającym obrus. Wypatrywaliśmy przez zakratowane okno pierwszej gwiazdki na niebie. Gdy zapadł zmrok, podzieliliśmy się opłatkiem i zasiedliśmy do wigilijnej wieczerzy.

Wieczorem strażnicy otworzyli nam cele i pozwolili wyjść na korytarz. Krzysztof Śliwiński poprowadził tam dłuższą zbiorową modlitwę. Później skorzystaliśmy z okazji, by podzielić się opłatkiem z kolegami z innych cel. Podzieliłem się też opłatkiem ze znajdującym się w pobliżu naczelnikiem naszego pawilonu, a może również całego więzienia. Wysłuchaliśmy też przez radio transmisji pasterki. Następnie wróciliśmy do swych cel, które zamknęto.

Pierwszy dzień Świąt (25. 12. 1981) był już bardzo uroczysty. Znów otworzono nam cele. Wyszliśmy rano na korytarz. Przybyli do nas dwaj kapłani: ks. Jan Sikorski i ks. Bronisław Dembowski. Szybko udało się przygotować prowizoryczny ołtarz. Rozpoczęła się dla chętnych spowiedź w uproszczonym trybie (jak dla żołnierzy na wojnie, zwłaszcza tuż przed walką). Potem dwaj kapłani odprawili uroczystą, świąteczną Mszę świętą. Ks. B. Dembowski wygłosił homilię. Mówił w niej m. in. o potrzebie dochowania wierności pewnym wartościom duchowym. Trzeba to czynić jednak racjonalnie, nie jest bowiem rozsądnym zabiegiem pociąganie tygrysa za wąsy, by sprawdzić, jak on się zachowa. Na zakończenie mszy internowani odśpiewali *Kolędę białolecką*, powstałą wcześniej w celi Maćka Zembatego. Zamykały ją znamienne zwrotki:

„Podnieś rękę, Boże Dziecię,
Błogosław Ojczyznę miłą,
W trudnych chwilach, w złej godzinie,
Wspieraj jej siłę swą siłą.

By się zdrajcom nie zdawało,
że zawładną Polską całą.
A słowo ciałem się stało
I mieszkało między nami”.

Cała uroczystość była dla nas głębokim i krzepiącym przeżyciem – chyba również dla kolegów niewierzących czy nie uczestniczących w praktykach religijnych. Wkrótce wróciliśmy do cel. Zapanował nastrój optymizmu mimo smutnych wiadomości z zewnątrz. Wygasły w tym czasie ostatnie strajki na Górnym Śląsku (chyba w kopalniach „Piast” i „Ziemowit”).

Kapłani dotarli też do nas 26 i 27 grudnia. Znów odprawili msze. Cele pozostawały przez dłuższy czas otwarte. Tak jak proboszcz chodzi po Świętach Bożego Narodzenia „po kolędzie” w swej parafii od domu do domu, od mieszkania do mieszkania, tak ks. Jan Sikorski nawiedzał kolejno wszystkie cele w naszym pawilonie.

Sytuacja zmieniła się na niekorzyść 28 grudnia. Chyba wtedy odwołano komendanta, który rozluźnił regulamin więzienny, by umożliwić nam wspólne obchodzenie Świąt. Nowy naczelnik okazał się znacznie większym „służbistą”.

Rozpoczęły się w tym czasie widzenia z rodzinami. Dnia 28 lub 29 grudnia dotarła do mnie Grażynka. Było to głębokie przeżycie dla nas obojga. Rozstaliśmy się przecież dwa tygodnie wcześniej, 14 grudnia rano, w pobliżu Dworca Wileńskiego. Nie zdążyliśmy nawet spokojnie się pożegnać. Rozmowy z bliskimi odbywały się przy stolikach. Przy okazji otrzymywaliśmy od rodzin nie tylko artykuły żywnościowe, ale także bieliźną na zmianę i różne uzupełnienia w zimowej odzieży.

Tymczasem atmosfera w więzieniu była coraz bardziej napięta. Wprowadzono różne obostrzenia, np. zakaz biegów w czasie spaceru, ale ja mimo to nadal biegałem wokół trawnika. W noc sylwestrową, tuż po kolacji, nastąpiła swoista eksplozja. Mieszkańcy cel stanęli przy otwartych oknach. Skandowali donośnie okrzyki w rodzaju: „Wrona Orła nie pokona”. Rozpoczęły się też zbiorowe śpiewy. Niektórzy walili pięściami w drzwi lub uderzali w nie różnymi przedmiotami. Tumult był coraz większy. Nasza manifestacja była zapewne słyszalna na ulicach w pobliżu więzienia. Co więcej – przyłączali się do niej na odległość więźniowie kryminalni z niezbyt odległego budynku. Rozległ się ich okrzyk: „Wolności dla „Solidarności”! Dochodziły stamtąd jakieś inne odgłosy. Wydawało się, że internowani i więźniowie kryminalni zaczną wyważać drzwi swych cel. Można by powiedzieć żartobliwie, że skutecznie „zdemoralizowaliśmy” kryminalistów. Strażnicy w popłochu biegali po dziedzińcu. Tuż przed dwunastą w nocy (a więc przed Nowym Rokiem) komendant więzienia podał przez radiowęzeł komunikat, że jeśli okrzyki, śpiewy i inne odgłosy nie ustaną, to wejdą do akcji oddziały porządkowe znajdujące się na zewnątrz więzienia. Wkrótce na dziedzińcu pojawiły się formacje milicjantów w hełmach i wyposażonych w tarcze i długie pałki.

Śpiewy i okrzyki przygasły. Tak zakończył się w Białoleśce okres świątecznego rozluźnienia, a zaczął się rok 1982.

Dnia 1 stycznia 1982 dotarła do mnie Grażynka. Przekazała mi sporo wiadomości o rodzinie, przyjaciółach i znajomych. Złożyła podanie o widzenie ze mną 9 stycznia, ale odpowiedź władz była negatywna.

Wdrożyłem się do więziennej codzienności. Nowy dyrektor więzienia wprowadził znaczne ograniczenia. Tylko niektóre cele mogły uczestniczyć w mszach niedzielnych odprawianych na korytarzu naszego pawilonu. Pozostali koledzy musieli zadowolić się transmisją przez radiowęzeł. Część internowanych rozpoczęła w tym czasie głodówkę. Jej cele nie zostały jednak dokładnie określone. Sądzę, że dla niektórych osób była to

walka „o wszystko”, a więc o zniesienie stanu wojennego, zwolnienie internowanych czy uwięzionych działaczy. Nie popierałem tej akcji. Uważałem, że głódówkę można podejmować w jakimś jednym, dobrze sprecyzowanym celu. Sądziłem zarazem, że nie ma sensu osłabiać naszych sił fizycznych w obliczu dalszych trudności czy represji, jakie nas jeszcze prawdopodobnie czekają. Osoby, które podjęły głódówkę, zostały przeniesione do oddzielnego budynku.

Trwały zarazem przesłuchania, prowadzone przez funkcjonariuszy SB w innym jeszcze budynku, zwanego przez nas „Ambasadą”. Gdy funkcjonariusze przechodzili skrajem dziedzińca, by tam właśnie wejść, koledzy odbywający spacer witali ich zbiorowymi gwizdami. Wielu internowanych odmawiało wyjścia z celi na przesłuchanie. Strażnicy nie wyprowadzali ich siłą.

Codzienne życie w celi nie zawsze układało się zgodnie. Było nas przecież jedenastu na osiemnastu metrach kwadratowych. Klóciliśmy się niekiedy o sprawy codzienne, chyba jednak częściej spieraaliśmy się w pewnych kwestiach ideowych. Różnie ocenialiśmy działalność naszego związku w ciągu ostatnich 16 miesięcy. Mimo tych sporów stanowiliśmy jednak wspólnotę. Okazywaliśmy sobie wzajemną życzliwość, dzieliliśmy się solidarnie zawartością otrzymanych od rodzin paczek żywnościowych.

Staralem się zaprzyjaźnić ze wszystkimi współmieszkańcami naszej celi. Szczególnie zgodne były moje rozmowy z Mirkiem Odorowskim, Januszem Dynere, Maćkiem Cislą, a także Januszem Głuszkiewiczem. Polubiłem też Antka Rosę, robotnika z zakładów wodociągowych. Był on swoistym przykładem ludowego wesółka, pokpiwającego po trochu ze wszystkich, w tym z funkcjonariuszy SB. Jego wypowiedzi były czasem niezbyt mądre i trafne, ale nie miałem mu tego za złe. Ojciec Antka, rolnik ze wsi Dybów pod Radzyminem, był w czasie II wojny światowej żołnierzem Armii Krajowej obwodu „Rajski Ptak”. Po przejściu frontu w 1944 r. został aresztowany przez NKWD i osadzony w łagrze. Wrócił po kilku latach ze zrujnowanym zdrowiem. Po pewnym czasie zmarł. Pochowano go na cmentarzu parafialnym w Radzyminie. Antek traktował swą działalność związkową jako kontynuację walki prowadzonej przez jego Ojca. Dobrze rozumiałem to poczucie.

Korzystałem z biblioteki więziennej, nawet niezłe zaopatrzonej. Książki można było zamówić po śniadaniu, przynoszono je do cel. Księgozbiór zawierał sporo wartościowych książek z literatury dawnej i współczesnej, przeczytałem m. in. *Cesarza R.* Kapuścińskiego. Dużo tam było również propagandowej literatury „ubeckiej”, gloryfikującej walkę funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa oraz MO i KBW z tak zwanym „reakcyjnym podziemiem” w pierwszych latach powojennych. Grywałem też w szachy z majorem Kledzikiem z ZZFMO. Ponościłem sromotne klęski. Ceniłem zarazem Pana Majora, wykładowcę w szkole milicyjnej, za fachowość, rzeczowość w rozmowie, spokój, wytrwałość, odporność na wszelkie próby zastraszenia przez władze, które w pierwszych dniach stanu wojennego groziły mu śmiercią za „zradę” interesów resortu bezpieczeństwa.

Dnia 18 lub 19 stycznia 1982 wywołano mnie z celi na przesłuchanie w „Ambasadzie”. Poszedłem. Oczekiwał mnie nieznany mi funkcjonariusz w cywilu. Przywitał mnie uprzejmie i zapytał, czy zgadzam się na rozmowę z nim. Oświadczyłem, że nie złożę żadnych zeznań na temat mojej działalności związkowej. Była ona przecież jawna i legalna. Mój rozmówca dał mi wówczas do zrozumienia, iż nie reprezentuje Służby

Bezpieczeństwa, natomiast jest oficerem wojskowych służb specjalnych. Nie obchodzi go moja praca związkowa w BN i nie będzie o nią pytał. Interesuje go tylko moja odpowiedź na pytanie: na jakich warunkach mogłoby dojść do porozumienia między działaczami „Solidarności” a władzami państwowymi?

Odpowiedziałem krótko, że w moim przekonaniu warunkiem wstępnym jakichkolwiek rozmów jest odwołanie stanu wojennego i zwolnienie wszystkich internowanych czy aresztowanych. Dopiero potem można by przejść do dalszych kontaktów i rozpocząć odpowiednie negocjacje. Należy przy tym zrezygnować z kampanii nienawiści i kłamstw, prowadzonej wciąż przez partyjno-państwowe środki przekazu. Przedstawiciele „Solidarności” powinni natomiast zrezygnować z wszelkich buńczucznych i nieprzemysłanych deklaracji, jakie wygłaszali niektórzy związkowcy przed wprowadzeniem stanu wojennego. Obopólnym celem powinno być przewyciężenie wszelkiej nienawiści.

Rozstaliśmy się uprzejmie. Wróciłem do celi.

W czasie pobytu w Białoleśce nurtowały mnie też pewne pytania ogólne, które zanotowałem zresztą w moim zeszycie. Czy po wyjściu z więzienia pozostaniemy nadal działaczami społecznymi? Jak nas ocenią ludzie, w tym członkowie „Solidarności”? Czy będziemy im nadal potrzebni? Czy okres internowania rzeczywiście stanowi dla nas czas przymusowych „rekolekcji”, które odbywają zarówno wierzący jak i niewierzący? Czy wykorzystujemy ten czas właściwie?

Mijał dzień za dniem i nic nie zapowiadało zmian w mojej codziennej egzystencji, do której zdołałam się już trochę przyzwyczaić.

2. Ośrodek Internowania w Jaworzu

Dzień 21 stycznia 1982 rozpoczął się jak zwykle śniadaniem o godzinie 6,30. O 7,00 otworzył drzwi celi strażnik z jakąś listą w ręku. Wyczytał moje nazwisko. Powiedział, że mam natychmiast spakować swoje rzeczy i przygotować się do wyjścia. Koledzy orzekli pocieszająco: „Wracasz do domu”. Spakowałem swe więzienne „skarby” i czekałem na dalszy bieg zdarzeń. O godzinie 8,00 wywołano mnie z celi. Pożegnałem się serdecznie z jej wszystkimi mieszkańcami. Przeprowadzono mnie do świetlicy w tym samym budynku. Było tam już kilkunastu internowanych. Strażnicy zrewidowali nas dokładnie, oddali nam rzeczy z depozytu (pieniądze, dokumenty), a zarazem odebrali przybory więzienne (miski, kubki, łyżki). O godzinie 8,30 wprowadzili nas do pojazdu więziennego, stojącego obok naszego pawilonu. Założyli nam kajdanki. Skuto mnie chyba z Włodzimierzem Wypychem, pracownikiem naukowym SGPiS, działaczem „drugiego obiegu”. Uśmiechnęliśmy się tylko do siebie i wymieniliśmy uwagę: „Nie zanosz się na powrót do domu”. Samochód przejechał na drugi dziedziniec wewnętrzny przed sąsiednim blokiem. Wprowadzono wówczas do naszego pojazdu Bronisława Geremka, więziona dotąd z członkami Komisji Krajowej i działaczami KOR. Było nas teraz w „suce” czternastu.

Wkrótce samochód ruszył, wyjechał z rozległego terenu więzienia. Nie powiadomiono nas, dokąd zmierzamy. Sądziłem, że trafimy do aresztu Stołecznej Komendy MO w Pałacu Mostowskich lub do Więzienia Mokotowskiego. Przygotowałem się na ewentualność, że czeka mnie rozprawa przed sądem wojskowym za naruszenie dekretu

o stanie wojennym i wyrok co najmniej kilku lat więzienia, a tym samym zapewne dłuższy pobyt wśród kryminalistów.

Siedziałem przy zakratowanym okienku i obserwowałem trasę. Jechaliśmy przez pewien czas szosą z Jabłonny do Warszawy, skręciliśmy wkrótce na most na Wiśle. Minęliśmy Dworzec Gdański i zdamy dalej ulicą Marcelego Nowotki (obecnie Władysława Andersa) w kierunku centrum Stolicy. W pewnym momencie samochód ze względu na czerwone światło zatrzymał się tuż przy tramwaju stojącym na przystanku. Jakaś kobieta patrzyła przez szybę na nasz pojazd, na to moje okienko, ale nie okazywała żadnego zainteresowania. Było mi przykro.

Pojazd ruszył ponownie. Minęliśmy Pałac Mostowskich i skręciliśmy w prawo ulicą Karola Świerczewskiego (obecnie są to Aleje „Solidarności”). Koledzy krzyknęli niemal jednocześnie: „Bemowo”!

Przybyliśmy na czynne jeszcze lotnisko wojskowe, wykorzystywane przez helikoptery i mniejsze samoloty. Oczekiwał nas płk. Romanowski, pełnomocnik gen. Czesława Kiszczaka do spraw internowanych. Wysiedliśmy. Zdjęto nam kajdanki. Płk. Romanowski oznajmił, że zostaniemy przewiezieni do Jaworza koło Drawska Pomorskiego na Pomorzu Zachodnim. Przy okazji ostrzegał nas niby żartobliwie przed próbą porwania helikoptera, gdyż w razie czego myśliwce z łatwością „przycisną go do ziemi”. Ostrzeżenie było oczywiście zbyteczne. Nikt z nas nie miał ochoty na porywanie tej maszyny, a towarzyszyło nam przecież kilkunastu uzbrojonych milicjantów.

Wszedłem do helikoptera. Była to wojskowa maszyna transportowa chyba typu „Antonow”. Usiadłem przy okienku.

Wystartowaliśmy. Lecieliśmy dość nisko nad ziemią, początkowo w kierunku północnym. Została za nami Warszawa, widziałem teraz z góry Puszcę Kampinoską, którą kilka tygodni wcześniej, w jakże odmiennych okolicznościach, przemierzałem z kolegami na nartach biegowych. Kierunek lotu budził mój niepokój. Czy wbrew zapowiedziom płk. Romanowskiego nie zdążamy jednak do jakiegoś więzienia na terytorium ZSRR? Gdy dolecieliśmy do Wisły, helikopter skręcił jednak na północny-zachód. Wkrótce dostrzegłem most w Wyszogrodzie. Lecieliśmy nadal wzdłuż rzeki. Widziałem z góry Płock, następnie zbiornik włocławski na spiętrzonej Wiśle. Po jakimś czasie dostrzegłem zarysy Torunia. Skręciliśmy tu jeszcze bardziej na północny-zachód. Rozpoznałem zamrażnięte jezioro Gopło, „Mysią Wieżę” w Kruszwicy. Wkrótce można było już dostrzec wyniosłe wzgórza morenowe i rozległe lasy Pomorza Zachodniego. Zakończyliśmy tę część podróży lądowaniem na lotnisku wojskowym w pobliżu Kalisza Pomorskiego.

Na skraju lotniska czekał na nas na nas autokar, do którego wsiedliśmy pod strażą tych samych konwojentów. Tym razem nie zakuto nas w kajdanki. Jechaliśmy teraz przez lasy Pojezierza Drawskiego. Po kilkudziesięciu minutach dotarliśmy do Ośrodka Internowanych w Jaworzu nad jeziorem Trzebuń.

Przybyliśmy do Jaworza w następującym składzie: Piotr Amsterdamski, Marek Barański, Andrzej Celiński, Oskar Czarnik, Tadeusz Diem, Bronisław Geremek, Ireneusz Gugulski, Waldemar Jakubiak, Grzegorz Lindenberg, Antoni Pawlak, Marian Srebrny, Andrzej Rosner, Krzysztof Strachalski, Włodzimierz Wypych⁹.

⁹ Por. Władysław Bartoszewski, *Dziennik z internowania. Jaworze 15. 12. 1981 – 19. 04. 1982*. Warszawa 2006, s. 37.

Po rejestracji przy wejściu przeprowadzono nas do jednopiętrowego budynku zamieszkałego przez internowanych. Chyba tutaj, na skraju zaśnieżonego trawnika, spotkałem się tego samego dnia lub nazajutrz z Wiktorem Woroszyńskim i Ryśkiem Rubinsteinem, towarzyszami z celi nr 1 pawilonu IV w Białoleńcu. Nastąpiło serdeczne powitanie uwiecznione w jednym z utworów Wiktora.

Spotkanie

„Obrońnięci mężczyźni
 rzucają się sobie w ramiona
 Jak tam nasza cela
 Kto śpi na mojej pryczy
 Rozdarty życiorys więzienny
 zrasta się na chwilę
 pierwsza cela staje się
 porzuconą ojczyzną
 sentymentalnym dzieciństwem więźnia”¹⁰.

Zakwaterowano nas w różnych pomieszczeniach. Trafiłem do pokoju, w którym mieszkał Jan Nowak z Politechniki Śląskiej oraz Maciej Uhlig z Uniwersytetu Śląskiego. Rozpoczął się nowy etap w mojej codziennej egzystencji.

Dzień lub w dwa dni po tej podróży do Jaworza moja Żona uzyskała zezwolenie władz na widzenie ze mną i dostarczenie mi paczki z odzieżą. Podwiózł ją samochodem do więzienia w Białoleńcu nasz serdeczny przyjaciel Janek Chmielewski. Oboje czekali dość długo na śniegu i mrozie na wpuszczenie do budynku. Obok nich stał również ojciec Jacka Kuronia z jakąś młodą osobą. Wpuszczono ich wreszcie do wewnątrz. Grażyna dotarła do okienka, gdzie można było uzyskać zezwolenie do wejścia na salę, w której odbywały się widzenia. Wymieniła moje nazwisko, okazała odpowiednie dokumenty. Strażniczka w okienku stwierdziła jednak, że mnie w więzieniu już nie ma, gdyż dokądś wyjechałem. Nie umiała lub też nie mogła wyjaśnić, dokąd i w jakim celu udałem się niespodziewanie w jakąś podróż. Jakiś stojący obok funkcjonariusz w mundurze pytał Grażynę kpiąco, po co przyszła. Grażynka wyszła z budynku rozgoryczona i rozgniewana. Wkrótce oboje, Janek Chmielewski i Żona, udali się na Stare Miasto do kościoła św. Marcina. Tam współpracownicy Komitetu Prymasowskiego już wiedzieli, że przewieziono mnie do Jaworza.

Warunki pobytu różniły się tu zasadniczo od niedawnej egzystencji więziennej. Mieszkaliśmy w Ośrodku Wypoczynkowym Wojsk Lotniczych. Przebywali tu od drugiej połowy grudnia 1981 r. i pierwszych dni stycznia 1982 znani pisarze, naukowcy, artyści, ludzie innych zawodów, związani z działalnością opozycyjną, m. in. Stefan Amsterdamski, Władysław Bartoszewski, Jacek Bierezin, Andrzej Bogusławski, Grzegorz Boguta, Ludwik Chełmicki, Andrzej Drawicz, Jerzy Holzer, Jerzy Jedlicki, Wiesław Kęcik i jego żona Marzena Górszczyk-Kęcikowa, Eugeniusz Kloc, Bronisław Komorowski, Waldemar Kuczyński, Tomasz Łubieński, Aleksander Małachowski, Jerzy Matyjek, Tadeusz Mazowiecki, Stefan Niesiołowski, Janusz Przewłocki, Maciej Rayzacher, Ryszard Rubinstein, Tomasz Schoen, Andrzej Szczypiorski, Janusz Szpotański, Piotr Topiński, Andrzej Tyszka, Tomasz Umiński, Jan Walc, Piotr Wierzbicki, Jerzy Wocial,

¹⁰ W. Woroszyński, *Dziennik internowania*, dz. cyt. .s. 29.

Wiktor Woroszyński, Roman Zimand. Wcześniej przebywały w Jaworzu internowane kobiety, ale wkrótce przeniesiono je (z wyjątkiem Marzeny Kęcikowej) do Gołdapi lub innych ośrodków¹¹.

Spotkałem zatem w Jaworzu Eugeniusza Kloca, niegdyś pracownika Instytutu Książki i Czytelnictwa BN, działacza opozycyjnego z lat 1976–1980, inicjatora założenia niezależnego związku zawodowego w Bibliotece Narodowej. Pod koniec 1981 lub na początku 1982 r. przeniósł się z BN do Instytutu Badań Literackich PAN.

Dość długo dzieliła nas wzajemna nieufność, może nawet niechęć. On uważał mnie zapewne za działacza zbyt ugodowego, skłonnego do ustępstw wobec władz. Jeśli idzie o mnie, to często traktowałem z dezaprobatą jego radykalne wystąpienia na walnych zebraniach „Solidarności” w BN, dosadne słownictwo, bardzo ostre zarzuty pod adresem władz tymczasowych naszego związku jesienią 1981 r.

Spotkałem się z E. Klocem krótko w więzieniu w Białoleścu, teraz w Jaworzu mogliśmy ze sobą wielokrotnie spokojnie i szczerze porozmawiać. Dawna nieufność czy nawet niechęć przerodziła się wkrótce w serdeczną przyjaźń. Spotykaliśmy się później już po zwolnieniu z internowania. Zaprzyjaźniły się również nasze żony. Niestety jakże przedwczesna śmierć Genia położyła kres rozwijającej się przyjaźni.

Następnego dnia po przybyciu do Jaworza rozmawiałem o naszej nowej sytuacji z Andrzejem Rosnerem, przywiezionego tym samym transportem. Bliska krewna Andrzeja pracowała w Dziale Zbiorów Specjalnych Biblioteki Narodowej. Zastanawialiśmy się, co kryje się za tak radykalną, korzystną zmianą w warunkach naszego internowania. Jakże były one odmienne od codziennej białoleśkiej rzeczywistości. Korzystaliśmy teraz z takich udogodnień, jak dobre warunki zakwaterowania – 2 lub 3 osoby w pokoju, wygodne tapczany, stolik, szafki, krzesła, radio, a przede wszystkim możliwość swobodnego poruszania się po całym budynku od rana do godziny 22,00. Przysługiwało nam prawo do dłuższych, chyba dwugodzinnych spacerów wokół trawnika między budynkami. Warto wspomnieć o stosunkowo dobrych posiłkach w stołówce (śniadania, obiady, kolacje). Tysiące internowanych przebywało w tym czasie w jakże gorszych warunkach. Niektórzy mieszkańcy Jaworza czuli wręcz pewne skrępowanie czy nawet zawstydzenie z powodu swego położenia, tak przecież odmiennego od warunków, w jakich przebywały inne internowane osoby.

Czy jednak rzeczywiście byliśmy pod każdym względem aż tak wielkimi szczęściarzami? Wokół nas rozciągały się rozległe pustkowia – Puszcza Drawska, jeziora, tereny poligonu. Stacjonowały tam w pobliżu wojska sowieckie, czasem inne formacje państw Układu Warszawskiego. W razie jakiegoś zaostrzenia się sytuacji w Polsce będzie można nas się pozbyć. Można to uczynić łatwiej niż gdzieś na obrzeżach Warszawy lub innego większego miasta. Jesteśmy przecież w ocenie władz „zakałą”, która zaraża „zdrową” część narodu.

Na razie nic nie sygnalizowało takiego zagrożenia. Moje obawy nasiliły się jednak kilka tygodni później. Trwała jeszcze zima, w lasach leżał głęboki śnieg. Na pobliskim poligonie odbywały się wielkie manewry wojsk Układu Warszawskiego. Prócz jednostek

¹¹ Por. W. Bartoszewski, dz. cyt., s. 257–264. Zamieszczony tam indeks osób uwzględnia wszystkich internowanych przebywających w Jaworzu od 15. 12. 1981 do 19. 04. 1982.

polskich uczestniczyły w nich oddziały sowieckie, wschodnioniemieckie, zapewne również innych państw pod władzą komunistów. Pewnego ranka, po śniadaniu, słyszałem przez dłuższy czas odgłosy przejeżdżających czołgów. Nie widziałem ich, ale jakieś większe zgrupowanie pancerne podążało blisko nas poligonową drogą. Zrodził się we mnie niepokój. Co będzie, jeśli zjawią się u nas funkcjonariusze sowieccy, by pomóc towarzyszom polskim w tłumieniu kontrrewolucji? Być może poniosła mnie zbyt wyobraźnia, ale trudno było się oprzeć rodzącym się niepokojom. Jak i dokąd można by w razie czego uciekać? Na północ od nas znajdowało się niewielkie lotnisko, dopiero za nim widoczna była ściana lasu. Na wschód od nas biegła szosa w kierunku Kalisza Pomorskiego przez most na Drawie. Droga na zachód wiodła do miejscowości Głębokie, gdzie internowano Edwarda Gierka i jego bliskich współpracowników. Znajdowali się tam pod strażą oddziału milicji. Pozostał jeszcze kierunek południowy, a więc skarpa opadająca stromo do jeziora Trzebuń, przesmyk między dwoma zamrożniętymi jeziorami, dalej spora część Puszczy Drawskiej i linia kolejowa ze Stargardu Szczecińskiego w kierunku Kalisza Pomorskiego. Na skraju skarpy stał co najmniej jeden wartownik. Po zmyleniu jego czujności sprawny mężczyzna mógłby wydostać się z naszego ośrodka, przedostać się przez przesmyk i szukać schronienia w lesie. Droga przez zasypy śnieżne byłaby jednak wyczerpująca, a w bezwietrzny dzień pozostają w nich jeszcze głębokie ślady. Ewentualna ucieczka z naszego ośrodka bez pomocy z zewnątrz byłaby jednak dość trudna.

Na razie życie w ośrodku upływało spokojnie. Od pierwszego dnia pobytu w Jaworzu uczestniczyłem systematycznie w zajęciach Wszechnicy Internowanych, działającej tam od końca grudnia. Władysław Bartoszewski wygłaszał w niej co kilka dni swe wykłady z cyklu „Geografia polityczna Polski Podziemnej”. Omawiał program i działalność ugrupowań konspiracyjnych od Polskiej Partii Socjalistycznej i innych organizacji lewicy niepodległościowej poprzez partie centrowe i ludowe aż do różnych formacji prawicowych¹². Uwzględniał przy tym organizacje żydowskie.

W marcu 1982 odbyło się też trzydniowe seminarium „Kościół rzymskokatolicki i katolicyzm polski w czasie drugiej wojny światowej” (zagajenie W. Bartoszewskiego, prelekcje M. Barańskiego i J. Holzera).

Niektóre odczyty odbywały się w ramach otwartych zebrań PEN-Clubu Polskiego (znaczna część jego członków i Zarządu znajdowała się wówczas w Jaworzu). W ramach tego cyklu wysłuchałem już nazajutrz po przybyciu do ośrodka interesującego wystąpienia Tadeusza Mazowieckiego „Laski w kulturze polskiej”. Prelegent omówił powstanie ośrodka dla ociemniałych w podwarszawskich Laskach, doniosłą rolę siostry Elżbiety Róży Czackiej. Położył jednak szczególny nacisk na oddziaływanie ks. Władysława Kornilowicza, kapelana tego zakładu. Organizował on spotkania dla ludzi poszukujących Boga, zdążających do niego różnymi drogami. Jak wiadomo uczestniczyły w tych dyskusjach osoby z ówczesnych środowisk twórczych, w tym pisarze. Zakład w Laskach odegrał interesującą rolę w dziejach kultury literackiej w II Rzeczypospolitej.

Cennym źródłem informacji był dla mnie odczyt Grzegorza Boguty „Niezależny ruch wydawniczy w latach 1976–1981”. Mimo mojej sympatii do opozycji, niewiele dotąd

¹² Dokładne tematy wykładów różnych prelegentów oraz daty ich wystąpień znajdują się prawie wszystkie w powyższej książce W. Bartoszewskiego.

wiedziałem o początkach tej działalności edytorskiej, o jej podstawach organizacyjnych, a także o sposobach powielania, drukowania oraz rozpowszechniania różnych tekstów.

Uroczysty charakter miał wieczór „Pamięć i spuścizna (w czterdziestolecie Armii Krajowej, 14. 02. 1942 – 14. 02. 1982)”. Otworzył to spotkanie dwugłos Władysława Bartoszewskiego i Bronisława Komorowskiego poświęcony tej rocznicy, potem odbyła się przygotowana przez kolegów część artystyczna.

Kilka dni później zgromadziła nas uroczystość z okazji sześćdziesięciolecia urodzin i czterdziestolecia pracy twórczej Władysława Bartoszewskiego. W imieniu Zarządu PEN-Clubu Polskiego laudację wygłosił Andrzej Szczypiorski, a po nim zabrał głos Jan Walc jako przedstawiciel Instytutu Badań Literackich PAN. Swymi refleksjami na temat zasług Laureata podzieliły się inne osoby. Wręczono mu również pisma zawierające indywidualne życzenia i gratulacje mieszkańców Jaworza. Zamknęła ten wieczór część towarzysko-artystyczna.

W okresie mego pobytu w Jaworzu wystąpiło jeszcze wielu innych prelegentów, np. Bronisław Geremek („Człowiek i grzech. Uwagi o kulturze średniowiecznej”), Stefan Amsterdamski, Andrzej Celiński, Jerzy Jedlicki („O Towarzystwie Kursów Naukowych”), Andrzej Drawicz (prelekcje poświęcone życiu naukowemu i literackiemu w ZSRR oraz okolicznościom związanym ze śmiercią Józefa Stalina), Ireneusz Gugulski („Młodzież licealna. Obserwacje nauczyciela”), Andrzej Bogusławski („O nowomowie”), ponownie Stefan Amsterdamski („Kryzys szczytnego ideału nauki”), Waldemar Kuczyński („Próby kolektywizacji wsi polskiej”), Marek Barański („Polska okresu podziału dzielnicowego”). W programie zajęć znalazł się również mój odczyt poświęcony obronie polskiego Lwowa w listopadzie 1918 r., oblężeniu miasta przez wojska zachodnioukraińskie od końca listopada 1918 r. do początku maja 1919 i dalszemu przebiegowi wojny polsko-ukraińskiej w Galicji Wschodniej aż do lipca 1919 r. Starłem się przedstawić argumentację i dowody waleczności obu stron uczestniczących w tym konflikcie.

Oddzielne spotkania poetyckie poświęcono wierszom Jacka Bierezina (słowo wstępne – Wiktor Woroszyłski) oraz poezji Wiktora Woroszyłskiego (wstęp – Andrzej Drawicz). Zorganizowano też wieczornicę poświęconą 119 rocznicy Powstania Styczniowego (wprowadzenie Jerzego Jedlickiego, część artystyczna z udziałem Wiktora Woroszyłskiego i Bronisława Komorowskiego).

Życie artystyczne Jaworza wzbogaciło czytanie Sceny I (tak zwanej Więziennej) z I aktu III części *Dziadów* Adama Mickiewicza. Całość reżyserował Maciej Rayzacher, skromną scenografię przygotowała Marzena Kęcik¹³. Tuż przed Wielkanocą, 8 kwietnia 1982 odbył się natomiast wieczór poezji pasyjnej z udziałem internowanych¹⁴. Zamknął spotkanie W. Bartoszewski wspomnieniami o swym ośmiokrotnym spędzaniu Świąt Wielkanocnych w więzieniu i o swym zwolnieniu z więzienia w czasie kolejnego

¹³ Por. W. Bartoszewski, dz. cyt., s. 37/38. Jak zanotował Autor, role poszczególnych postaci z dramatu odczytali: Bronisław Komorowski (Konrad), Andrzej Tyszka (Jakub), Ludwik Chełmicki (Adolf), Tomasz Umiński (Żegota), Jerzy Matyjek (ks. Lwowicz), Maciej Rayzacher (Sobolewski), Andrzej Drawicz (Frejent), Stefan Niesiołowski (Tomasz), Andrzej Wierusz (Feliks), Ludwik Chełmicki (Suzin), ponownie Andrzej Tyszka (Józef), Wiesław Kęcik (Jankowski), Stanisław Ugniewski (Kapral), Tadeusz Mazowiecki (Duch).

¹⁴ Tamże, s. 65/66. Jak zanotował Autor, zagał spotkanie Tadeusz Mazowiecki, dalej odczytały wybrane teksty następujące osoby: Marzena Kęcik („Lament świętokrzyski z XV wieku”), Wiktor Woroszyłski

Wielkiego Tygodnia. Powiedział na zakończenie: „Po każdym Wielkim Piątku przychodzi Dzień Zmartwychwstania”¹⁵.

Należałoby przy okazji zaznaczyć, że przejawy życia religijnego w Jaworzu były naprawdę wartościowe. Co dwa tygodnie przyjeżdżał do nas w niedzielę przed południem ks. biskup Ignacy Jeż, ordynariusz diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej. W latach II wojny światowej, jako młody duchowny, wciągu prawie 3 lat był on więźniem niemieckiego obozu koncentracyjnego w Dachau. Na pewno wiele wówczas wycierpiał. Okazywał nam dobroć, serdeczność, jego homilie w czasie mszy odznaczały się głębokimi refleksjami. Charakteryzowała go skromność, prostota w kontaktach z ludźmi. Odwiedziny księdza Biskupa były dla nas naprawdę krzepiące. Towarzyszył mu młody, energiczny ksiądz, być może kanclerz kurii. Dźwigał pakunki z szatami i naczyniami liturgicznymi. Przy okazji zabierał – zresztą za wiedzą Biskupa – różne nasze listy oraz inne teksty. Wiele z nich trafiło później do podziemia solidarnościowego. Dzielnym ksiądz-przemytnik przekazywał nam też drobne przesyłki od bliskich. Jakoś sprawnie sobie radził przy wejściu i wyjściu ze strażą więzienną. Warto zawsze pamiętać, że w tamtym okresie mieliśmy wielu odważnych, ofiarnych, pełnych dobroci kapłanów.

Przyjeżdżał też do nas ze Szczecina w co drugą sobotę ks. pułkownik Zygmunt Gola, kapelan Ludowego Wojska Polskiego. Wchodził na teren naszego ośrodka w mundurze oficerskim, dopiero później zakładał szaty liturgiczne. Był na pewno człowiekiem dobrej woli, okazywał nam swą życzliwość. Nie okazywano mu jednak takiego zaufania, jak gościom z kurii koszalińskiej.

Tuż przed Wielkanocą, dnia 4. 04. 1982, dotarł do nas i poprowadził rekolekcje o. Jacek Salij.

Dzięki inicjatywie Maćka Rayzachera powstał też w Jaworzu pewien krąg osób zainteresowanych wspólną modlitwą oraz lekturą różnych pism religijnych, zwłaszcza Pisma Świętego. Prócz Maćka uczestniczył w nim m. in. Jerzy Matyjek, Czesław Perkowski, a następnie (już po zwolnieniu Maćka) dołączył m. in. Andrzej Czuma, Edward Stanisław Janiszewski. Przychodziły też inne osoby, ale ich nazwisk już nie pamiętam. Brałem udział dość regularnie w tych spotkaniach. Połączyła nas wspólna modlitwa poranna i wieczorna, niekiedy śpiew wybranych pieśni religijnych, lektura fragmentów ksiązek i dyskusja. Cennym darem losu była dla mnie przyjaźń z Jerzym Matyjkiem. Był to lekarz

(Klemens Janicki, „Na wizerunek Chrystusa siedzącego na kamieniu”), Jan Walc (Jan Kochanowski, „Psałterz Dawidowy”, psalm X), Andrzej Drawicz (fragment z „Beniowskiego” Juliusza Słowackiego), Andrzej Tyszka (Maria Konopnicka, „O utajony na krzyżu, o Chryste”), Bronisław Komorowski (fragment z „Wyzwolenia” Stanisława Wyspiańskiego), Marian Srebrny (Leopold Staff, „Uwielbiam Panie Twe przebite ręce”), ponownie Andrzej Tyszka (Kazimierz Wierzyński, „Wróc nas do kraju”), ponownie Marzena Kęcik (Ewa Szelburg-Zarembina, „Pieta”), Jacek Bierozin (Aleksander Wat, „Długo broniłem się przed Tobą), Jerzy Wocial (Jerzy Liebert, „Poeci”), Ireneusz Gugulski (Jerzy Liebert, „Jeździec”), Oskar S. Czarnik (Roman Brandstaetter, „Takie było Twoje ukrzyżowanie, Boże”), Wiesław Kęcik (Krzysztof Kamil Baczyński, „Modlitwa”), Tomasz Schoen (Karol Wojtyła, „Rozważanie o śmierci”), ponownie Wiktor Woroszyński (wiersz własny „Matko Boska”), Marek Owiński (Anna Kamińska, „Polska Pieta”), Wojciech Brojer (Anna Kamińska, „Modlitwa Lecha Wałęsy w więzieniu”), Tadeusz Mazowiecki (Cyprian Kamil Norwid, „Medytacja”, monolog).

¹⁵ Tamże, s 66.

z Torunia, wybitny specjalista z dziedziny neurologii, ceniony przez pacjentów. Jurek był zarazem prezesem tamtejszego Klubu Inteligencji Katolickiej. Niezwykle skromny, skupiony, niezbyt często zabierał głos, ale jego wypowiedzi były zawsze głęboko przemyślane. Okazywał dobroć i życzliwość wszystkim internowanym, bez względu na ich poglądy polityczne czy stosunek do religii. Jurek Matyjek, zmarły w latach dziewięćdziesiątych XX w., jest dla mnie do dziś wzorem autentycznej religijności.

Zwolniono Jurka w marcu 1982 r. Zapewne oddziaływały na władze żądania pacjentów wzburzonych tym, że ich ulubiony, opiekuńczy lekarz znajduje się w ośrodku dla internowanych, a nie w szpitalu czy w ośrodku zdrowia. Kilka tygodni po zwolnieniu Jurek przysłał mi kartkę świąteczną, w której wspominał, że tęskni za spotkaniami religijnymi w naszym kręgu. Może to wydać się paradoksalne – człowiek niedawno zwolniony tęskni za kontaktami nawiązanymi w miejscu swego przymusowego pobytu¹⁶.

W mszach odprawianych w Jaworzu uczestniczyła spora część internowanych, ale nie wszyscy. Byli przecież wśród nas koledzy zachowujący dystans do Kościoła katolickiego, a także należący do innych wyznań oraz ateści. Na msze święte odprawiane przez biskupa I. Jeża przychodzili również niektórzy pilnujący nas milicjanci. Na wezwanie kapłana: „Przekażcie sobie znak pokoju”, podawaliśmy im ręce. Te gesty były w pewien sposób odwzajemniane. Miały wpływ na postawę niektórych funkcjonariuszy.

Kiedyś przechadzałem się z kolegą na skraju skarpy nad jeziorem. Stojący tam wartownik wyjął niespodzianie magazynkę z karabinu Kałasznikowa. Zamiast naboju, którymi miałyby do nas w razie czego strzelać, wyciągnął paczkę papierosów. Otworzył ją i ostentacyjnie zapalił. Wdał się z nami w przyjazną rozmowę. Ten młody, sympatyczny chłopak za jednym zamachem naruszył trzykrotnie regulamin służby wartowniczej. Miał przecież w magazynku papierosy zamiast amunicji. Zapalił pełniąc wartę. Nawiązał przyjazną rozmowę z ludźmi, których miał pilnować. Nie przejmował się zupełnie tym wykroczeniem, za które groziła mu odpowiedzialność przed przełożonymi.

Wśród pilnujących nas strażników byli zapewne funkcjonariusze czy donosiciele SB. Prawdopodobnie ostrzegli swe władze, że ich koledzy w kontaktach z nami ulegli swoistemu „rozmiękczeniu”. Dnia 9. 02. 1982 nastąpiła całkowita wymiana oddziału wartowniczego. Przeprowadzono ją bardzo szybko i w ten sposób, by dotychczasowi strażnicy mieli jak najkrótszy kontakt z funkcjonariuszami, przejmującymi po nich posterunki. Nowi milicjanci, odpowiednio chyba przeszkoleni, traktowali nas początkowo nieufnie, czasem wrogo.

Kilka tygodni później doszło w Jaworzu do tragicznego zdarzenia. Dnia 7 marca 1982 kolejna zmiana ładowała ostrymi nabojami karabiny Kałasznikowa. Jeden z milicjantów, być może żartem, skierował lufę w stronę swego kolegi. Niechcąc nacisnął wpust. Padł strzał. Pocisk ciężko ranił jego kolegę w głowę, przebił szybę okna wartowni, poleciał gdzieś w kierunku trawnika, wokół którego spacerowaliśmy. Niedługo

¹⁶ Po zwolnieniu z internowania odwiedziłem wraz z Grażyną Jurka i jego Małżonkę mieszkających w Toruniu. Jurek opowiedział mi wówczas o pewnym charakterystycznym incydencie. Wiosną i latem 1982 Jurek wysyłał systematycznie dziesiątki, a nawet setki kartek i listów do osób, poznanych w Jaworzu i pozostających nadal w ośrodku odosobnienia. Zwróciło to oczywiście uwagę Bezpieki, kontrolującej wówczas korespondencję pocztową. Wezwano wówczas Jurka na przesłuchanie. „Pan oszalał, Pan oszalał” – załamywali ręce funkcjonariusze SB. „Ale ja tęsknię, wciąż do nich tęsknię” – tłumaczył dobrotliwie Jurek.

później byłem tam akurat z Tadeuszem Mazowieckim i jakąś inną osobą. Widzieliśmy, jak wyprowadzano z wartowni mimowolnego sprawcę tego czynu. Postrzelony chłopiec, Roman Staszczak, zmarł kilka dni później w szpitalu wojskowym. Jako uczestnicy naszego kręgu modlitewnego wysłaliśmy kanałem kościelnym list kondolencyjny do rodziny Zmarłego. Podobno został dobrze przyjęty przez jego Bliskich, pogrążonych w żałobie po tak tragicznym i niespodziewanym zdarzeniu.

Dnia 17 lutego 1982 r. wylądował na pobliskim lotnisku polowym helikopter. Okazało się, że przybył nim znany mi już porucznik SB Cedrowski/Ciborowski wraz z drugim funkcjonariuszem. Wezwano mnie na rozmowę. Poszedłem.

Na wstępie por. Cedrowski zapytał, jak oceniam obecne warunki mego internowania w Jaworzu. Odpowiedziałem, że w porównaniu z więzieniem w Białoleńcu są one dobre. Wtedy rozmówca zapytał, czy po dwóch miesiącach odosobnienia przemyślałem swoje postępowanie dnia 13 i 14 grudnia 1981 r. Wyraziłem przekonanie, że niczego nie żałuję i gdyby powtórzyła się podobna sytuacja, postąpiłbym tak samo. Wówczas funkcjonariusz zarzucił mi, że go okłamałem w czasie rozmowy dnia 13 grudnia 1981 r. na Komisariacie MO w Kobyłce. Miałem rzekomo obiecać, iż nazajutrz, 14 grudnia, nie dojdzie do żadnego strajku w Bibliotece Narodowej, a jednak postąpiłem inaczej. Doszło wtedy między nami do ostrej sprzeczki. Powiedziałem bowiem, iż nie złożyłem żadnego zobowiązania na piśmie lub ustnie, a moja troska o bezpieczeństwo ludzi i zbiorów nie oznaczała rezygnacji z jakiegokolwiek akcji protestacyjnej. Na stwierdzenie rozmówcy, iż wprowadzenie stanu wojennego było koniecznością, odpowiedziałem, że jest ono bezprawne i bezcelowe. Internowanie kilku tysięcy działaczy nie zapewni władzom zwycięstwa. W miarę upływu czasu opór społeczny będzie narastał. Całego narodu nie da się przecież uwięzić, internować.

Wtedy por. Cedrowski zakomunikował mi, że nie zapadła jeszcze ostateczna decyzja w sprawie moich dalszych losów. Być może stanę przed sądem wojskowym za naruszenie dekretu o stanie wojennym. Wtedy po wyroku trafię do więzienia, by spędzić dłuższy czas w innym otoczeniu, w innych warunkach niż w Jaworzu.

Odpowiedziałem, że jestem na to przygotowany, ale nie zmienię swych przekonań, swej postawy.

Rozstaliśmy się we wrogim nastroju. Por. Cedrowski napisał później w notatce służbowej dla swych władz, że moje stanowisko uległo usztywnieniu w porównaniu z rozmową, jaką przeprowadził ze mną 13 grudnia 1981 na Komisariacie MO w Kobyłce.

Zmieniał się stopniowo skład mieszkańców Jaworza. Pewne osoby zwolniono, docierały natomiast nowe grupy działaczy. Tak np. 12. 02. 1982 przywieziono 12 osób z Białoleńki. Był to Wojciech Brojer, Tomasz Borkowski, Witold Ferens, Aleksander Janiszewski, Aleksander Kociszewski, Sławomir Kretkowski, Krzysztof Paluszkiewicz, Czesław Perkowski, Edward Staniewski, Lech Trusiński, Ryszard Szadkowski, Andrzej Zarzycki. Nieco później, 1. 03. 1982, zawitali w Jaworzu Marek Chlebowicz, Zygmunt Gutowski, Piotr Hałaczekiewicz, Jan Moczulak, Marek Owiński¹⁷. Spośród nowo przybyłych znałem już bliżej z pobytu w Białoleńcu Aleksandra Janiszewskiego z Kolprojektu, a w późniejszym czasie zaprzyjaźniłem się z Zygmuntem Gutowskim.

¹⁷ W. Bartoszewski, dz. cyt., s. 42 i 53.

Dnia 3. 02. 1982 przywieziono do nas jako internowanego Leszka Maleszkę z Krakowa. Po 1989 r. informowano wielokrotnie w mediach, że był on współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa. Takie stwierdzenie znajduje się również w książce Bartoszewskiego¹⁸. Nie znam związanych z tym szczegółów, nie widziałem odpowiednich dokumentów. Nie posądzałem tego młodego człowieka o podstęp, o zdradę. Obudził on jednak wówczas we mnie niechęć, gdyż przechwalał się swoimi znajomościami w krakowskich „salonach opozycyjnych”. Nie nawiązywałem z nim nigdy jakiegokolwiek pośredniej rozmowy.

Ukształtował się w Jaworzu mój codzienny porządek dnia jakże odmienny od więziennego. Wstawaliśmy o 7,00. O godz. 7,15 spotykałem się z Maćkiem Rayzacherem, Jurkiem Matyjkiem oraz innymi osobami na wspólnej modlitwie. Od 8,10 do 8,30 trwało śniadanie w stołówce. W ciągu następnych kilkudziesięciu minut, aż do 10,45 uczestniczyłem w lektoracie języka angielskiego, prowadzonym przez Andrzeja Bogusławskiego lub wysłuchiwałem jakiegoś wykładu. Później można było wyjść na spacer. Wykorzystywałem ten czas, by trochę pobiegać wokół trawnika między budynkiem zajmowanym przez milicjantów a stołówką. O 12,30 trzeba było już wrócić do naszych pomieszczeń. Niekiedy odbywał się wówczas jeszcze jeden wykład. Wykorzystywałem ten czas również na lekturę. Mniej więcej od 14,00 do 15,00 trwał obiad. Po obiedzie, około 15,15 spotykała się nasza grupa modlitewna. Najczęściej zajmowaliśmy się wtedy lekturą fragmentów Pisma Świętego. Później można było jeszcze wyjść z budynku na krótki spacer od 30 do 45 minut. Resztę popołudnia wypełniała lektura, korespondencja, indywidualne rozmowy, odpoczynek. O 19,00 zaczynała się kolacja. Tuż po kolacji nasza grupa modlitewna odbywała jeszcze wieczorne krótkie spotkanie. Następnie wykorzystywałem czas na różne rozmowy czy rozrywki. Spotykałem się m. in. w pokoju Wiesława i Marzeny Kęćików z Bronisławem Komorowskim, by pograć w karty. Wybraliśmy stosunkowo łatwą grę, tak zwanego tysiąca z udziałem trzech osób. Nie pamiętam, czy to ja ogrywałem przyszłego Pana Prezydenta RP, czy on ogrywał mnie, czy nas obu zwyciężał w tej rywalizacji Wiesław Kęćik. O godz. 22,00 obowiązywało zgaszenie światła w pokojach, aż do 7,00 trwała cisza nocna.

Przez pewien czas kuszono nas możliwością emigracji. Przyjechał do Jaworza urzędnik z Biura Paszportowego MSW, by przyjąć wnioski na wydanie paszportów. Podobno władze państwowe były gotowe szybko załatwić powyższą sprawę. Zdecydowana większość wykluczyła tę możliwość. Uważaliśmy, że nasze miejsce jest w Polsce – i to bez względu na bieg dalszych wypadków. Kilka osób zdecydowało się jednak na wyjazd z kraju. Należał do nich sympatyczny współmieszkaniec naszego pokoju, Jan Nowak z Górnego Śląska, pracownik naukowy Politechniki Śląskiej. Po zwolnieniu z internowania wyjechał wraz ze swą rodziną na stałe do USA.

Moja żona, Grażyna, otrzymywała zezwolenie władz, by raz na miesiąc odwiedzać mnie w Jaworzu. Mogła wyruszyć w podróż po otrzymaniu odpowiedniej przepustki. Były to wyprawy trudne dla niej, dla wszystkich naszych żon czy też innych bliskich osób. Spotkania z nami wymagała od nich wielkiego poświęcenia. Wyruszały one rano pociągiem z Warszawy do Szczecina, by późnym popołudniem czy wieczorem wysiąść

¹⁸ Tamże, s. 261.

na stacji w Choszczynie i tam przenocować w hotelu. Następnego dnia wczesnym raniem jechały dalej pociągiem lokalnym w kierunku Prostyni. Wsiadały w Kaliszu Pomorskim. Tam przyjeżdżała po nie ciężarówka wojskowa, by je dowieźć do Jaworza.

Istniała też inna „szkoła” przebiegu podróży. Zainteresowane osoby wyruszały wieczorem pociągiem z Warszawy do Szczecina. Wczesnym rankiem wsiadały w Stargardzie Szczecińskim. Można było stamtąd również dojechać lokalnym pociągiem do Kalisza Pomorskiego i zabrać się stamtąd ciężarówką do Jaworza. Miejscowi taksówkarze odmawiali dojazdu do Jaworza ze względu na teren wojskowy.

W Jaworzu nasi bliscy czekali jeszcze przed wartownią. Po sprawdzeniu dokumentów wpuszczano ich do świetlicy. Wkrótce mogli tam wejść internowani. Rozmowa odbywała się przy stolikach. Można tam było usiąść na krzesłach. Przy każdym stoliku towarzyszył temu spotkaniu funkcjonariusz, nazywany przez nas „słupem”. Funkcjonariusz mógł wtrącić się do rozmowy, zwrócić uwagę, by uwzględniać tylko sprawy rodzinne, a pomijać wszelkie kwestie polityczne. Spotkanie trwało jedną godzinę, nie można było tego czasu przedłużyć. W czasie rozmowy odwiedzający mogli przekazać jakieś rzeczy (odzież, obuwie, jedzenie) pod warunkiem, że zostaną one wyłożone na stolik w celu sprawdzenia przez towarzyszącego spotkaniu kontrolera.

Grażyna odwiedziła mnie 7 lutego, 7 marca, a następnie 12 kwietnia, a więc w Niedzielę Wielkanocną. Te spotkania były niekiedy trudne dla obu stron. Czasem nie wiedzieliśmy, jak te 60 minut dobrze wykorzystać. Rozmawialiśmy na początku o różnych drobiazgach, o sprawach drugorzędnych. Dopiero w miarę upływu czasu podejmowało się kwestie naprawdę ważne. Raz przyszedł nam z pomocą towarzyszący nam „słup”, zapewne jakiś życzliwy człowiek. Szepnął do nas: „A teraz niech Państwo porozmawiają o swoich ważnych sprawach” i dyskretnie odsunął się w miarę możliwości jak najdalej od naszego stolika.

Mimo tych wszystkich utrudnień wspomniane spotkania były głębokim i krzepiącym przeżyciem dla obu stron. Gdy 7 marca ofiarowałem Grażynce jakąś bazę, którą ułamałem wcześniej na skraju skarpy nad jeziorem, dowiozła ją niczym relikwię do Warszawy. Grażyna skorzystała raz w drodze powrotnej z gościny w Szczecinie u mego bliskiego krewnego, Tadeusza Chłopiczkiego i jego żony Marii.

Trudne było nasze spotkanie 12 kwietnia w Niedzielę Wielkanocną. Grażyna wyruszyła z Warszawy w Wielką Sobotę wieczorem. Mimo kalendarzowej wiosny powróciła jeszcze na kilka dni zima. Wsiadła rano w Stargardzie Szczecińskim. Zanotowała to w swoich wspomnieniach. „Jadę sama, pierwszy raz na noc. W pociągu zimno, zmarzłam jak pies na dolnej kuszecie. 5,00 rano, jesteśmy w Stargardzie. Cały wagon kuszetek jedzie – jak się okazuje – do Prostyni. Następnym pociąg za dwie godziny. Czas dłuży się strasznie – zimno i za wcześnie. Niezupełnie jestem przytomna. Denerwuję się. Droga do Prostyni. Dużo znajomych twarzy, jechali też Holzerowie. Na stacji docelowej było nas sporo. Dobry kolejarz poczęstował nas herbatą i zadzwonił do Jaworza po środek lokomocji. Strasznie długo czekaliśmy. Część poszła pieszo – złapała ich zadymka. Żalowałam, że nie zrobiłam tego samego – miałabym czas na otrząśnięcie się ze zmęczenia, napięcia i przygnębienia. Poza tym nienawidzę tej wielkiej sali, w której w końcu siedzieliśmy – przypomniła mi rozmowę w lutym pod silną kontrolą. Długo czekaliśmy na otwarcie tej cholernej sali, bo pacany zgubiły klucz. Miejsca bardziej „przytulne”

zajęli ci, którzy doszli pierwsi. Nastąpiło to, czego obawiałam się najbardziej – przywitanie w nerwach. Zaskoczyłeś mnie i trzęsły mi się ręce. Trudno mi było z Tobą rozmawiać. Dlaczego? Nikt nie słuchał, rozluźnienie rzucało się w oczy. Brakło mi czegoś w tej rozmowie. Konkrety, konkrety, konkrety... igły, kwerenda, książki, musztarda – mój Boże, czułam, że spadam gdzieś na bok, gram, śmieję się, przestaję być sobą – brnę rozpaczliwie dalej i jest jeszcze gorzej. Miałam wrażenie, że po raz pierwszy gubimy się na wzajem. Ty idziesz torem swego życia, ja swoim. Może jestem przewrażliwiona? A może te 4 miesiące zaczynają się kłaść między nami cieniem? Co u nas? Co u was? My i wy... Co się dzieje w człowieku, że nagle czuje coś tak dziwnego, niechcianego?”¹⁹.

Byłem tego ranka jakiś roztrągniony, nie umiałem skupić się wewnętrznie przed tym spotkaniem. W czasie jego trwania mówiłem egoistycznie o różnych drobiazgach związanych z naszą codzienną jaworzańską egzystencją. Nasze spotkanie było zatem niezbyt udane i to z mojej winy.

Żona w drugiej połowie grudnia 1981 oraz w styczniu 1982 pozostawała w poczuciu pewnej bezsilności. Wspierali ją mocno moi przyjaciele: Janek i Julita Chmielewscy, Jan Wołosz, Antek Lewandowski, Włodzimierz Łewec (w tym czasie oficer Ludowego Wojska Polskiego w służbie czynnej), Kinga Jaworska, a także współpracownicy związkowi z BN, przede wszystkim Stefania Skwirowska, Urszula Masłowska. Odwiedzała też Grażynę moja krewna Zofia Godzimirka wraz ze swoją córką Magdą. Wspomagana przez Janka i Julitę Chmielewskich Grażyna nawiązała kontakt z Prymasowskim Komitetem Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom, zwanym w skrócie Komitetem Prymasowskim. Towarzyszyła jej w tych staraniach kuzynka Chmielewskich siostra Ewa Godlewska z klasztoru Sióstr Wizytek w Warszawie. Chociaż wizytki są zakonem klauzurowym, siostra Ewa mogła swobodnie wychodzić z klasztoru na Krakowskim Przedmieściu w celu załatwiania różnych spraw. Znałem ją jeszcze w czasach, gdy była studentką Uniwersytetu Warszawskiego.

Obie więc, Grażyna i siostra Ewa, rozmawiały w lutym 1982 z osobami z Komitetu. Uzyskały obietnicę, że Komitet Prymasowski podejmie starania na rzecz mego powrotu do domu. Spotkał się jednak z odmową władz. Wiele miesięcy później powiedział mi ks. Bronisław Dembowski, iż Komitet kilkakrotnie apelował o moje zwolnienie, ale władze udzielały za każdym razem negatywnej odpowiedzi. Mimo to Komitet nadal traktował tę sprawę jako otwartą, wymagającą dalszych starań²⁰.

Mniej więcej na początku stycznia 1982 r. wiadomość o moim internowaniu dotarła do mojej matki – Halszki Chmielowskiej-Guilley, mieszkającej stale od kilkudziesięciu lat we Francji. Zgłosiła ona natychmiast moją sprawę do Amnestii Międzynarodowej, z którą współpracowała. Nasz bliski francuski znajomy, Jean de Nolhac, zobowiązał się chętnie, by w przyszłości patronować wszystkim zabiegom Amnestii związanym ze

¹⁹ Grażyna Więch-Czarnik, *Listy niewysłane*. Rękopis, zapis z 19.04.1982, s. 38–40.

²⁰ Jeden z duchownych związanych z Komitetem (chyba ks. Kwiecień – nie znamem go osobiście) obiecał, że będzie stale zajmować się moją sprawą ze względu na moje pokrewieństwo z Adamem Chmielowskim – Bratem Albertem. Marian Chmielowski, mój pradziadek ze strony Matki, był młodszym bratem Adama. Łączyła obu braci nie tylko więź rodzinna, ale też wspólne zainteresowania artystyczne w dziedzinie grafiki i malarstwa.

mną. Wydaje się jednak, że na razie działalność tej organizacji nie mogła przynieść pozytywnych rezultatów w sprawach działaczy internowanych w Polsce.

Grażyna wystąpiła też pisemnie do kilku osób, zajmujących ważne stanowiska w Bibliotece Narodowej, by skłoniły dyrektora naczelnego instytucji, Witolda Stankiewicza, do udzielenia tak zwanego poręczenia. Mogłoby to wpłynąć na stanowisko władz w sprawie mego zwolnienia. Życzliwej odpowiedzi pisemnej udzieliły Grażynie następujące osoby: Jadwiga Kołodziejka (kierowniczka IKiCz), Henryk Pilarczyk (zastępca dyrektora BN do spraw administracyjnych), Krystyna Ramlau-Klekowska (kierowniczka Instytutu Bibliograficznego), Czesław Janusz Wrzesień (kierownik Ośrodka Przetwarzania Danych), Janusz Wołosz (kierownik Sekretariatu Naukowego). Podobne apele w sprawie poręczenia skierowali do Dyrektora Naczelnego niektórzy szeregowi pracownicy BN, m. in. Piotr Supranowicz.

Dnia 7. 04. 1982 Grażyna rozmawiała z dyrektorem naczelnym BN Witoldem Stankiewiczem. Spotkanie trwało godzinę. W odczuciu mojej Małżonki Dyrektor nie zajął zdecydowanego stanowiska. Sprawę tak zwanego poręczenia obiecywano poruścić w czasie posiedzenia Kolegium Dyrekcyjnego, jakie miało się odbyć kilkanaście dni później.

Grażyna nadal utrzymywała kontakt z Komitetem Prymasowskim, który wciąż zajmował się moją sprawą. Wspomagana duchowo i organizacyjnie przez Janka i Julię Chmielewskich, a także przez siostrę Ewę, uzyskała audiencję u sekretarza Episkopatu, arcybiskupa Eugeniusza Dąbrowskiego. Rozmówca poinformował ją, że niedawno rozmawiał telefonicznie z ministrem gen. Czesławem Kiszczakiem i wśród wielu poruszanych kwestii uwzględnił apel o moje zwolnienie. Minister oświadczył, że „wszystko zależy od postawy tego internowanego”.

Tymczasem mój pobyt w Jaworzu przebiegał w dotychczasowym codziennym rytmie. W drugiej połowie marca 1982 polepszyły się warunki naszej egzystencji. Można było przed południem korzystać – oczywiście pod strażą – z boiska położonego obok naszych budynków. Gdy ociepliło się, niektórzy z nas grali tam w piłkę nożną. Wyróżniali się jako znakomici piłkarze Grzegorz Boguta i Stefan Niesiołowski. Uczestniczyłem również w tych rozgrywkach i podobno zyskałem uznanie za wolę walki, która nieco rekompensowała moje znacznie słabsze piłkarskie umiejętności.

Zmieniał się wciąż nasz skład osobowy. Dnia 18 marca 1982 został zwolniony Maciej Rayzacher. Po jego wyjeździe nasz krąg modlitewny przejawiał znacznie mniejszą aktywność. Miesiąc później, 19 kwietnia 1982, został zwolniony z internowania Władysław Bartoszewski. Zebraliśmy się wszyscy, by go pożegnać. Zwrócił się do nas w krótkim, wielce serdecznym przemówieniu. Udaliśmy się wszyscy w kierunku wartowni. Dyżurujący sierżant milicji zarządził, że nie wolno nam przekroczyć jakiegś linii przez wartownię. Andrzej Drawicz zaczął z nim grzecznie się spierać, iż przecież moglibyśmy przesunąć się jakieś dwa lub trzy metry dalej, by lepiej widzieć naszego odchodzącego Starostę. „Panie Drawicz, a ja myślałem, że Pan jest człowiek inteligentny” – pouczał Andrzeja zgorszony sierżant. Wybuchnęliśmy wszyscy śmiechem. Bartoszewski odleciał wkrótce helikopterem z Jaworza, a my wybraliśmy na naszego nowego przedstawiciela, czyli starostę, Andrzeja Drawicza, chociaż sierżant milicji wyraził wątpliwości co do poziomu jego inteligencji.

Jak niektórzy mówili, weszliśmy w okres „późnego Jaworza”. Powtarzały się pogłoski, że nasz ośrodek zostanie zwrócony Dowództwu Wojsk Lotniczych, a pozostający w nim internowani znajdą się w jakimś domu wczasowym w DarłóWKu. Chociaż budynek ten jest położony blisko morza, to możliwości wychodzenia z niego na spacer pod strażą są bardzo ograniczone.

Przed Wielkanocą otrzymałem pocztą kilkadziesiąt kartek i listów od pracowników Biblioteki Narodowej, Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, a także innych warszawskich księżnic. Dotarły też pocztą życzenia od moich krewnych, przyjaciół i znajomych. Sprawilo mi to wielką radość.

Kilka dni po Wielkanocy, gdy wychodziłem z naszego budynku na spacer, spotkałem niespodzianie oficera wojskowych służb specjalnych, który rozmawiał ze mną w więzieniu w Białolece. Powitał mnie słowami: „Panie Czarnik, nie mam dla Pana dobrych wiadomości. Nie szykuje się dla Pana zwolnienie”. Przyjąłem tę informację spokojnie, przecież na żadne zwolnienie nie liczyłem.

Sporo rozmawiałem z różnymi współmieszkańcami Jaworza. Interesujące były dla mnie wspomnienia i refleksje przekazywane przez Stefana Niesiołowskiego. Jak wiadomo, został on skazany na siedem lat więzienia za uczestnictwo w organizacji konspiracyjnej, działającej pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku lat siedemdziesiątych XX w. Stefan przebywał przez pięć lat w więzieniu w Barczewie. Warunki odbywania kary w tym zakładzie były podobno wyjątkowo ciężkie. Stefan wiele nam opowiadał o folklorze więziennym, o różnych zachowaniach skazanych, o swych relacjach z kryminalistami, o zmianach, jakie dokonują się w psychice wielu ludzi przebywających długo w zakładzie karnym. Cenna była jego rada, iż człowiek, zatrzymany lub już skazany za działalność polityczną, powinien od razu pogodzić się z myślą, że jego pobyt w miejscu odosobnienia będzie długi i trzeba w miarę możliwości ukształtować swój sposób życia, swą codzienną postawę. Oczekiwanie na jakąś amnestię lub inna korzystną interwencję jest zazwyczaj złudne i łatwo może doprowadzić do katastrofy psychicznej. Słuchaliśmy tych rad z zainteresowaniem, a Wiktor Woroszyński utrwalił je zwięźle w jednym ze swoich utworów.

Doświadczony więzień radzi nie wyznaczać daty

„Nie wyznaczaj daty wyjścia na wolność

Ona minie i ciągle będziesz tu

Niespełniona nadzieja jest jak trucizna

Ten dzień przyjdzie ale nie myśl o nim jak nie myślisz o śmierci

Pozwól mu przyjść niewzywanemu jak śmierci”²¹.

W czasie pobytu w Barczewie Stefan często spotykał na korytarzu więziennym lub w innych miejscach znanego zbrodniarza niemieckiego Ericha Kocha. Był on oficjalnie skazany przez sąd polski na śmierć, w praktyce odbywał w Barczewie karę dożywotniego więzienia, chociaż nie przewidywał jej kodeks karny, obowiązujący wówczas w PRL.

Dnia 25. 04. 1982 znów dotarła do mnie Grażyna. Tym razem nasze spotkanie było bardziej udane niż dwa tygodnie wcześniej. Żona była pełna optymizmu. Rozchodziły się

²¹ W. Woroszyński, *Dziennik internowania*, dz. cyt., s. 28.

przecież pogłoski, iż wkrótce nastąpi zwolnienie większej liczby internowanych. Nie sądziłem, by to mogło mnie dotyczyć. Sama wiadomość była jednak krzepiąca, a piękna wiosenna pogoda sprzyjała dobremu nastrojowi. Pożegnaliśmy się z pewnym optymizmem.

Dnia 29. 04. przed południem z zapałem uczestniczyłem wraz z Grzegorzem Bogutą, Stefanem Niesiołowskim i grupą innych kolegów w rozgrywkach piłkarskich. W czasie obiadu komendant ośrodka odczytał nam listę osób, które zostały zwolnione z internowania i jeszcze dzisiaj mogą udać się w drogę powrotną do domu. Znalazło się na tej liście również moje nazwisko. Byłem tym bardzo zaskoczony.

Po obiedzie zacząłem się szybko pakować. Potem rozpoczęło się pożeganie. Poznałem tu kilkadziesiąt osób, z niektórymi zaprzyjaźniłem się serdecznie, z innymi rozmawiałem rzadziej. Jest to naturalne w życiu większej zbiorowości. Łączyła nas wszystkich wzajemna życzliwość mimo różnic w poglądach. Niektórzy internowani, przebywający wówczas w Jaworzu, odegrali później wybitną rolę w życiu Polski, zwłaszcza od 1989 r. Mogli w swej działalności popełniać pewne błędy, ale wiązał ich etos służby dla Ojczyzny, przekonanie o nadrzędnej wartości wspólnego dobra. Ten etos służby, zamienny dla znacznej części inteligencji polskiej XIX i XX wieku, przejmowali przedstawiciele innych środowisk społecznych, w tym robotnicy, rzemieślnicy, chłopci. To wielka strata moralna, iż ten etos zaczął wygasać w społeczeństwie polskim na początku XXI wieku.

Po pożegnaniu wraz z innymi zwolnionymi kolegami udałem się na wartownię. Moich rzeczy chyba w ogóle nie przeglądano. Wsiadliśmy do ciężarówki. Było nas kilkunastu, wśród nich Piotr Topiński i Wiktor Woroszyński, który korzystał z kilkudniowej przepustki. Okazało się, że Piotr Topiński przeniósł wśród swoich rzeczy notatki i utwory Wiktora, który mu je powierzył, spodziewając się przy wyjściu dokładnej rewizji. Piotr zwrócił Wiktorowi te materiały już w drodze na stację.

Wyruszyliśmy pociągiem lokalnym do Stargardu Szczecińskiego, a stamtąd rozpoczęliśmy całonocną podróż do Warszawy. Rano na peronie Dworca Centralnego oczekiwali mnie już Jerzy Maj i Małgorzata Rakowiecka. Dzięki jakimś „przeciekom” informacyjnym wiedzieli już wcześniej o moim zwolnieniu. Podwieźli mnie najpierw do Biblioteki Narodowej, gdzie spotkałem się krótko przy wejściu z kilkunastoma osobami, a potem do Technikum Odzieżowego na ul. Narbutta, gdzie pracowała Żona. Po kilka minutach Grażynka wyszła z klasy na przerwę i była oczywiście zaskoczona moim niespodziewanym zjawieniem się.

Pożegnałem z podziękowaniem Jerzego i Małgorzatę. Po zakończonych przez Grażynę zajęciach odwiedziliśmy Jadwigę i Kazimierza Czachowskich na Żoliborzu, a następnie udaliśmy się do naszego mieszkania w Kobyłce.

Zamierzałem 3 maja wznović moją pracę zawodową w Bibliotece Narodowej, ale nagle otrzymałem wezwanie, by 4 maja w południe stawić się do Komendy Stołecznej MO w Pałacu Mostowskich. Takie wezwania otrzymali inni koledzy zwolnieni z Jaworza 29 kwietnia.

Zgłosiłem się na Komendę. Przyjął mnie dobrze mi już znany por. Cedrowski/Ciborowski. Wraz z innym funkcjonariuszem przewiózł mnie do swej siedziby SB w centrum dzielnicy Praga.

Rozpoczęła się rozmowa. Por. Cedrowski wyraził swój głęboki zawód, iż mimo jego usilnych starań nie stanąłem przed sądem wojskowym za naruszenie dekretu o stanie wojennym i teraz przebywam już w domu zamiast w więzieniu wśród kryminalistów. Przeżywał głęboką rozterkę duchową, że mimo tych zabiegów jego przełożeni podjęli inną decyzję.

Nie usiłowałem go w tej rozterce duchowej pocieszać...

Później zadał mi pytanie: „Jaka będzie Pańska reakcja, jeśli pewni ludzie z „Solidarności”, prowadzący teraz działalność podziemną, zaproponują Panu współpracę”? Odrzekłem krótko: „Odmawiam odpowiedzi”. Usłyszałem komentarz: „Pańska odmowa dobitnie świadczy, jakie są Pańskie poglądy, Pańska postawa polityczna”.

Teraz przeszedłem do kontrataku. Zapytałem go, dlaczego mi zarzucał, że go okłamałem w czasie przesłuchania dnia 13 grudnia 1981 r. na Komisariacie MO w Kobyłce. Nie podjąłem przecież żadnego zobowiązania, ani na piśmie, ani ustnie, że w Bibliotece Narodowej nazajutrz nie dojdzie do żadnej akcji protestacyjnej. Rozmówca twierdził, iż wykazywałem w czasie przesłuchania wielką troskę o bezpieczeństwo ludzi i zbiorów. Potraktował ją jako rezygnację z wszelkich wystąpień przeciw stanowi wojennemu.

W toku dalszego sporu por. Cedrowski dowodził, że jestem typem przebiegłego, wręcz przewrotnego jezuity. Chciał mnie w ten sposób obrazić. Nie potraktowałem jednak tego stwierdzenia jako obelgi. Do zakonu jezuitów należało przecież tylu wybitnych uczonych, pisarzy, mecenasów kultury.

Rozmowa dobiegła końca. Przeciwnik zamknął ją pogróżką: „Nie mówię Panu do widzenia, gdyż nasze ewentualne nowe spotkanie będzie już oznaczało sankcje prokuratorskie”.

Odprowadził mnie do strzeżonego wyjścia. Rozstaliśmy się bez gestów pożegnalnych.

Następnego dnia zgłosiłem się do pracy w Bibliotece Narodowej. Zaufana osoba zwróciła mi przekazaną jej nigdyś moją ślubną obrączkę.

cdn.

BYĆ POLAKIEM

Międzynarodowy Konkurs

XIII edycja 2021/2022



Mieszkaś poza Polską
Twoje serce jest w Polsce



Zapraszamy
dzieci i młodzież od 6 do 22 lat
oraz nauczycieli polonijnych

- ✓ czekamy na prace konkursowe do 20 marca 2022 r.
- ✓ ogłosimy wyniki 15 czerwca 2022 r.
- ✓ zapraszamy na Galę 2 sierpnia 2022 r.
- ✓ planujemy wiele nagród, jedną z nich jest wycieczka po Polsce



Regulamin i zasady Konkursu
www.bycypolakiem.pl



Organizator Konkursu

